ROK WYDAWNICTWA CZWARTY

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, HAUKE BOSAKA 4

1 sierpnia 1937 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
32 NUMER PISMA

Sygnały

miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka • — •

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

DZIEŁO LITERACKIE

ESTETYZM FORMALNY

Chyba żadna literatura świata chwili obecnej nie jest tak obarczona estetyzmem formalnym, jak literatura polska. W najprzeciętniejszej krytyce literackiej nie braknie nigdy wzmianki o „walorach". Jakgdyby wszystko już było w najlepszym porządku, gdy są owe straszliwe „walory" literackie, które powinny zniknąć z naszego słownika jaknajprędzej. Młodzi, początkujący pisarze tak wyłącznie pochłonięci bywają zagadnieniami estetyzmu formalnego, tak bardzo troszczą się o nowe, naciągane, przenośnie, ozdóbki barokowe i groteskizacje kompozycyjne czy stylowe, że tracą z oczu samąż istotę literatury. Cała sprawa zmagania się człowieka z żywiołem świata, cierpienia, ciemnoty i śmierci, cała wielokształtna konieczność walki o szczęście, o radość, a życie samo, wolne i prawdziwe, sprowadza się raptem do pytania: są walory, czy niema walorów? Jeśli są, to już dobrze.

Ten estetyzm jest grubo podejrzany już od bardzo dawna, że coś zagaduje, że przemilcza tragizm życia pięknotą formy, że jest poprostu kunsztem gabinetu kosmetycznego wobec zwiędłej twarzy człowieka chorego, któremu potrzebne jest zdrowe i krzepiące pożywienie, a nie puder i szminka. Myśli podobne wybuchają z wielką siłą, gdy przy czytaniu tłumaczeń z literatur obcych spostrzegamy, jak wiele u nas jest dotychczas nienapisanego, jak wielkie odłamy życia naszego są dotąd nieme i jak wiele bolesnego przykrywają wstydliwie owe kosmetyczne plasterki walorów.

Zmarły niedawno krytyk czeski, F. X. Šalda, w liście prywatnym do pewnego literata pisał: „Prawdziwy pisarz musi kształtować nowy, żarzący się materjał, rzeczy dotychczas nienazwane, musi wtykać rękę wprost w dym i płomienie nowego cierpienia, nowej ironji... Jednem słowem w czynności jego jest coś zuchwałego, śmiałego, powiedziałbym bluźnierczego...". Tu warto przytoczyć słowo Jerzego Bandrowskiego z „Pałacu połamanych lalek": „U nas wiele uchodzi w przekładach z języków obcych, ale po polsku oryginalnie napisać tego nie wolno". Mamy wspaniałe tłumaczenie dzieł Nietzschego, ale niepodobna wyobrazić sobie filozofa polskiego, który mógłby pisać i rozpowszechniać rzeczy takie, jakie pisał Nietzsche. A już zgoła wykluczone jest, aby w Polsce pisarz mógł swojemu społeczeństwu powiedzieć to, co np. Hoelderlin czy Nietzsche mówili swoim rodakom niemieckim.

ZWYCIĘSKA PRAWDA

Nie samym artyzmem człowiek żyje, ale prawdą. Mickiewicz w wykładach literatur słowiańskich przytoczył słowa Jezusa: „Poznacie prawdę i prawda wyswobodzi was". Całe dzieje cywilizacji to walka o prawdę, czyli o najprostszy i najbliższy stosunek człowieka do rzeczywistości. Poznać rzeczywistość, to znaczy ujarzmić wszystkie złe moce ciemnoty, zapanować nad światem, nad sobą, nad własnym strachem, gnuśnością, niedołęstwem. Niema większego bohaterstwa nad bohaterstwo poznawania prawdy. I niema wielkości bez tej postaci najwyższego bohaterstwa.

Ta prosta, banalna niemal, świadomość nie dotarła jeszcze do zbiorowej duszy polskiej. Przeciwnie, pokutuje w nas jakiś zabobon, że prawda może być groźna dla kogokolwiek czy czegokolwiek. Nawet Mickiewicz rymował to przekonanie, że „są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi... i takie, których odkryć nie może nikomu". Dlaczego? Oczywiście, są takie prawdy, które wymagają mocnych, odważnych serc, śmiałych umysłów i sumień wolnych, ale czy tylko te prawdy są dobre, które mogą służyć przeciętnie ciemnej słabiźnie? I czy tylko wygoda rządzących decyduje o racjach Kopernika, Giordana, Bruna, Niezschego?

Przed trzydziestu niemal laty pisał Stanisław Brzozowski w swej „Legendzie Młodej Polski": „Przyjmuje się nie prawdę, lecz jej przyjemne i pożyteczne konsekwencje". Pisał też o tym straszliwym agnostycyzmie wiary polskiej, która rezygnuje z poznania swej własnej treści, swego rozwoju, historji i organizacji: „Ignorancja co do właściwego przedmiotu wiary, dziejów kościoła i jego organizacji wprost nieprawdopodobna: a przecież ten martwy fakt przynależności kościoła pozwala — nie myśleć o całym szeregu kwestji, pozwala zbywać niczem, ot przeżegnaniem się lub zdjęciem czapki przy spotkaniu księdza, mijaniu kościoła. Czego nie zabija, od czego nie uwalnia ten jeden gest? Oto nie potrzebuję już kłopotać głowy różnemi filozofjami, truć duszę wątpliwościami: przecież tam w kościele codzień na mszy dzwonią".

Wielkim artystą był Henryk Sienkiewicz. Każda stronica jego dzieł jest pełna tych „walorów", które straszą w naszych krytykach ogólnikowością i bezkształtem treści, ale nie powiedział nam całej prawdy o nas, naprawił nam zbyt wiele duserów, wszystko złe zwalając na naszych nieprzyjaciół. Po latach przyszedł Żeromski i wezwał nas do walki z wszelkiemi półprawdami: „Walcz z siekiewiczyzmem, to znaczy ze schlebianiem masie, która w danej chwili ma siłę władną, z pokrywaniem nędzy polskiego bytu frazesem „kierliwym", jak mówią moskale... Musisz walczyć o całego człowieka. Nie wierz, żeby zwalenie najazdu, zwalenie strupieszałych form skończyło pracę. Należy walczyć o całość ducha, o tego, który leży pod męką ciał, należy stwarzać wieczną rewolucję, która jest wieczną przemianą ducha i nieskończonem jego odradzaniem". Niestety, nie wiedział Żeromski, że „strupieszałe formy" wracać będą w niesłychanej okazałości.

PRZEMIANA WARTOŚCI

Fryderyk Nietzsche ulegał złudzeniu, że przemiany wartości dokonywa filozof. Takiemu samemu złudzeniu ulega nieraz czytelnik, gdy w dziele literackiem o najwyższych już wartościach prawdy i prawdziwości spotyka się z prostemi stwierdzeniami pewnej rzeczywistości. Beaumarchais nie był rewolucjonistą i nie stwarzał rewolucji, ale stwierdzał, że dokonały się pewne przemiany. To, co istniejąc bez nazwy i określenia tworzy masyw życia nieświadomego, popędowego, staje się nagle życiem świadomem, gdy otrzyma nazwę.

Tego uświadamiania życia dokonywa dzisiaj literatura nie lękająca się rzeczywistości. Ale niedość jest nie lękać się prawdy. Talent literacki to nietylko „sztuka słowa", jak się mawiało jeszcze względnie niedawno, lecz sztuka poznawania, wola poznawania. W każdym dobrym podręczniku historji krytyki jest mowa o wpływach, którym ulega dany pisarz. Do najważniejszych wpływów na powstawanie książki zaliczono słusznie wpływy, wywierane przez inne książki. Pisarz sugestjonuje nietylko czytelnika, ale przedewszystkiem innych pisarzy, a więc zainteresowanych osobiście miłośników sztuki. Ale sztuka, która nie przyjmuje do wiadomości nowych, potężnych treści życia, bardzo łatwo przemienia się w sztuczność, w scholastykę, w werbalistyczny talmudyzm, w barokowe malowanie kurzajek na nosie, do których nam tyle, co do Hekuby.

Największem powodzeniem u czytelników cieszą się dzisiaj pisarze, którzy wyrośli poza tradycją literacką i wpływami literatury i którzy zdołali poddać się bezpośrednim wpływom życia. Céline, Munthe, Földes, Seidler... to przykłady pierwsze z brzega. Niesłychana prostota stylu, całkowite ignorowanie „walorów", rezygnacja z możliwości bogatego warjowania tematu, czasem nawet lekceważenie słowa, ale co za bogactwo rzeczywistości i jaki wzruszający stosunek do prawdy, która wyzwala z wszelkiej niewoli przestarzałych mitów i zabobonów! Czytelnik pochłania ich książki w mniemaniu, że to oni dokonywają tak olbrzymiej przemiany wartości, ale wierność ich obrazów naprowadza go rychło na trafne spostrzeżenie, że oni rejestrują jedynie to, co się już dawno w życiu dokonało, że w chaos nowej rzeczywistości wnoszą rytm ludzkiego do niej stosunku. To jest wielka rzecz i piękna zarazem. Literatura piękna to nie ładne słowa, ale uczciwość, odwaga, prawda, za którą bierze się na siebie odpowiedzialność wobec czytelnika i wobec własnego sumienia. Czytelnik umie ocenić takie piękno i rozchwytuje książki takich pisarzy w setkach tysięcy egzemplarzy, podczas gdy od „walorów" odwraca się ze wzruszeniem ramion.

TALENT I CHARAKTER

„Paryż, hotel pod pięknem słońcem" pisarki niemieckiej Ange Seidler, odstrasza zrazu grubością swoich 460 stronic, ale jest to jedna z tych wspaniałych książek, które można czytać od każdej dowolnej stronicy. Jest w tej książce żywa, prawdziwa Elżbieta, żyjąca na własną odpowiedzialność w świecie bezrobotności i anarchji. W jej postawie jest coś cudownego: nie walczy z tym światem nędzy, w który się wrodziła, nie przeczy mu, nie usiłuje go obalić, bo wie, że zadanie przerasta beznadziejnie jej siły, ale go bierze takim, jakim on jest, przyświadcza mu, akceptuje go i tem go właśnie niweczy. Jej mąż, wykolejeniec, tradycjonalista i łazik, nie odważa się na nic, czego nie byłby widział u starych, ale Elżbieta, która ma odwagę spojrzenia na rzeczywistość, chce być jaknajdalej od starych, bo zdołała zrozumieć, że co innego świat starych, a co innego świat jej pokolenia.

Gdy matka jej męża zaczyna wywodzić, że trzeba mieć koniecznie dzieci, Elżbieta wybucha: „Dziecko! Dziecko! Wielka rzecz. To potrafi każdy, i koty, i psy, i słonie. To nie sztuka. Sztuka, to nie mieć dziecka". W pierwszej chwili czytelnik dostaje temi słowami w łeb tak samo, jak dostała stara matka męża Elżbiety. Anarchja! Elżbieta to anarchistka, Ange Seidler, jej matka, duchowa to anarchistka! Ale zaraz przychodzi refleksja: czy anarchistą jest ten, co mówi, czy ten, co czyni? Otóż Elżbieta nie rzuca bynajmniej jakiegoś nowego hasła, ale poprostu wyraża w banalnem słowie to, co wszyscy ludzie jej pokolenia czynią, czynić muszą w atmosferze powszechnej nędzy i niepewności.

Ale Elżbieta jest zanadto człowiekiem, aby mogło jej być obce macierzyństwo. Z całą świadomością zabiera się do urodzenia dziecka, lecz wbrew utartym pragnieniom wszystkich rodziców marzy, iż dziecko jej będzie dziewczynką. Dlaczego? „Dziewczyna nie broni ojczyzny, ani nie nadstawia głowy dla programów politycznych. Wrasta w świat, poznaje rzeczy i ludzi, nie błąka się śród marzeń. Żyje pośród chaosu szczęśliwsza, niż jej towarzysz. Jeśli się jej nie poszczęści, nie dostanie męża. Można żyć i bez męża. Świat wystarczy. Świat jest piękny. Zresztą moja córka pójdzie własną drogą...".

Cała ta książka jest właściwie o owej Elżbiecie, która umiała pójść przez życie własną drogą i wreszcie uciec od tej starzyzny, która ma pieniądze, stanowiska, tytuły i stypendja. Drogę tę wydeptała swej Elżbiecie, Ange Seidler, która także odżegnała się od kanonizującej starzyzny i odważyła się zrezygnować z tego wszystkiego, co życie ułatwia i umila. Prawda była jej droższa. Charakter opanował tu talent, podporządkował go sobie.

PRZESTROJENIE

Za czasów panowania Maeterlincka najgłośniejszem hasłem literackiem był nastrój. Były to czasy najpowszechniejszej i najpowszedniejszej *prosperity* spożywców i wytwórców literatury. O wojnie światowej z gazami trującemi nikt wtedy nie myślał, każdy kto chciał pracować, łatwo mógł znaleźć pracę, a bezrobotność w naszych wymiarach kryzysowych była mitem nie do wiary. I twórca i spożywca literatury nastrajali się sybarytycznie, bez względu na to, czy pisał Kipling, czy Hamsun, czy Maeterlinck. Świat nie znał ciężkiej, tragicznej problematyki społecznej, politycznej i osobniczej, życie zamykało się w odczuwaniu i należało się starać o urozmaicenie odczuwania. Ponieważ nie było grozy rzeczywistej, stwarzano sobie jej surogaty w nastrojach.

Dzisiaj nie potrzeba nastrojów sztucznych. Jest aż nadto rzeczywistego, prawdziwego tragizmu. Miljony młodych kobiet nie znajdują mężów i niezawsze znajdują pracę. Ich nastrój bywa często wprost samobójczy. Aby żyć jako tako, aby skosztować życia, które jest takie dla młodych niemiłosierne, muszą wychylać się poza ramy obyczaju, prawa, przepisu. Dzieje się im źle, miewają wyrzuty sumienia, bo wciąż jeszcze obowiązuje ideał Tomasza a Kempis w naśladowaniu Jezusa Chrystusa, podczas gdy rzeczywistość odbiegła od tego świętego o stulecia niewiarygodnych przemian.

Aby uciec przed rozstrojem wewnętrznym, przed straszliwą szarpaniną rozdwojeń duszy, potrzeba przestrojenia gruntownego i oto w takich książkach, które liczą się z nieszczęściem człowieka bezrobotnego, bezżennego i niezamężnego, wyrzuconego daleko poza straszące upiory obyczajów w samotność nie do wytrzymania, znajdujemy to właśnie, co można nazwać przestrojeniem się, dostrojeniem duszy do współczesnej wrzawy jazzbandowej. Elżbieta z książki Ange Seidler, dotknięta uwagą męża - łazika, że żyje z jego pieniędzy, znajduje sobie pracę, robi nawet swego rodzaju karjerę, ale nie umie i nie chce obywać się bez tych chwil radości, jakie może znaleźć w przyjaźni z mężczyzną.

Kocha męża swego i myśli o nim tkliwie, ale sprawy miłości umie tak doskonale oddzielić od spraw erotyki, że nie przejmuje się swemi „zdradami". Zdala od męża musi pracować na kawałek chleba i zawsze godzi się na życie takie, jakie ono jest. „To, że spała i sypia dalej z innymi mężczyznami, nie trapi jej wcale. Noc nie jest najważniejsza. Ważny jest dzień. Bezeceństwa dnia są gorsze. Noc jest czarna, tajemna, należy do każdego człowieka zosobna. Powinien ją spędzać, jak chce".

Ta aforystyka autorki „Paryża" to wyraz zdolności obserwacyjnych, pogłębionych perspektywą odczuwania socjologicznego. To nie anarchja autorki, ale anarchja życia. Ona jedynie rytmizuje ten chaos, wnosi weń pewien porządek dobroczynny, likwiduje anarchję tem, że uznaje *de jure* to wszystko, co już od bardzo dawna i za zgodą wszystkich istnieje *de facto*.

OSZUKIWANI

Nie było dotychczas młodego pokolenia, którego pokolenie stare nie byłoby najboleśniej oszukało o cały ziemski sens życia. Od bajeczki o bocianie aż po wezwanie do rezygnacji z radości świata tego w imię mitologji tuczącej tylko jej głosicieli, wszystko jest bolesnem oszukaństwem, pochłaniającem masy nieoszacowanej energji. Młodość walczy z wiatrakami pustego iluzjonizmu, usiłuje pokonać samąż najcenniejszą istotę życia, aby wreszcie po latach dojść do przekonania, że to wszystko było zbędne, niepotrzebne i szkodliwe. Że niczemu się nie zapobiegło, że w zakazach wysnutych ze wschodnich mitologji tkwił jedynie zabójczy *stimulans* zaciekawień, że drobiazgi moralnie obojętne zostały konwencjonalnie rozdęte do niebywałych granic i że to, co mogło stać się życiotwórcze i cenne, wytworzyło całe szeregi chorobliwych kompleksów.

Szkody, powstające na tem tle, są niewymiernie wielkie, bo wtedy właśnie, kiedy młodość jest najbardziej aktywna, energiczna, silna i przedsiębiorcza, wygoda starych paraliżuje ją zasadami swego własnego iluzjonizmu i względami własnej wygody. To się powtarza od tysiącleci z niezamąconą regularnością. Na tablicy assyryjskiej, pochodzącej z czasów bardzo odległych — około 2800 lat przed Chrystusem, — wypisano: „Ziemia psuje się w czasach ostatnich. Są znaki, świadczące, że świat zbliża się ku rychłemu końcowi. Wszędzie pełno łapownictwa i zepsucia. Dzieci nie chcą już słuchać rodziców swoich. Każdy chciałby pisać księgi, z czego widać, że szybko zbliża się koniec świata".

Stary kawał z tem zepsuciem i bliskim końcem świata. Niemniej stary jest kawał z tem posłuszeństwem rodzicom, nieraz tępym i ograniczonym, nie mającym najmniejszego pojęcia o szkodach, wyrządzanych dziecku przez „wychowanie" i o wartości duszy dziecka. I tu właśnie wprowadza porządek literatura rzetelna, gdy rezygnując ze śmiesznych ozdóbeczek i „walorów", staje prosto i niedwuznacznie w obronie wyzyskiwanej młodości i jej prawdy najwyższej.

CENZURA

Każda cenzura jest zła i fatalna w skutkach, tem fatalniejsza, że niczemu nigdy nie zapobiega i że dzieje odrabiają zawsze z naddatkiem zaległości przez nią spowodowane. Ale, pamiętajmy, że nawet carska cenzura nie przeszkodziła Gogolowi, Dostojewskiemu, Tołstojowi, Puszkinowi, Sałtykowowi-Szczedrinowi powiedzieć bardzo wiele z tego, co nietylko naród rosyjski, ale cała ludzkość przyjęła za swoje. Cenzura walczy często nie z treścią, ale z formą i dlatego pisarz, powodowany miłością człowieka, zdoła zawsze powiedzieć, co trzeba.

Najgorszą postacią cenzury jest chwiejność pisarza samego, gdy zaczyna stylizować prawdę rzeczywistości i gdy od nędz życia, które od niego wyczekują ratunku, ucieka w piękno formy. Do każdego człowieka przychodzi w pewnej chwili sumienie już nietylko osobnicze, ale społeczne, surowe, nieprzekupne i nieustępliwe, aby zapytać: coś ty z młodością swoją zrobił, ze swoją siłą, z czystością duszy, z prawdą swoją? Nikt nigdy nie pyta wielkiego charakteru, ile w nim było talentu — bo czemże tu jest talent wobec wielkiej postawy duszy?! — ale stale trzeba pytać: ile charakteru jest w twoim talencie, człowieku - pisarzu?

Kto chce pokonać nasz świat bezrobotności i nędzy, obłudy i kłamstwa, musi go przyjąć za swój, przejąć się nim, przeniknąć do głębi i przeistoczyć w sobie. Hendrik de Man, wielki działacz socjalistyczny i rewolucjonista, napisał w książce swojej *Zur Psychologie des Sozialismus* słowa, godne zapamiętania: „Nie wierzę już w rewolucję, jako w sąd nad światem. Wierzę tylko jeszcze w rewolucję, która przeobraża nas samych". To nie jest oportunizm, to skutek poznania. Na co zdało się dawanie wolności ludziom, którzy potrzeby jej nie odczuwali w głębi dusz swoich, którzy jej nie łaknęli jak chleba powszedniego i nie pragnęli jak wody, bez której ginie się w męczarniach? Wolność mechaniczna i niewola mechaniczna to poprostu nic, bierność mas zrodzona z ich obojętności. Gdy malutkie Niderlandy zapragną wolności, wielka Hiszpanja razem ze swoją cenzurą, inkwizycją, więzieniami i katem, zacznie rozpadać się w proch i pył.

I tu właśnie przypomnieć należy słowa wielkiego Nietzschego z jego „Zaratustry": „Zwiesz się wolnym? Myśl, co tobą włada, usłyszeć pragnę, nie zaś, że z jarzma jakiego umknąć się zdołałeś... Niejeden ostatnią swą wartość precz odrzucił, gdy odrzucił swą służebność. Wolny od czego? Lecz cóż to Zarastrurę obchodzić może! Jasno niech mi twe oczy zwiastują: ku czemu wolny?". Musimy być wolni ku śmiałemu poznawaniu świata, jaki on jest naprawdę; wolni ku mówieniu prawdy poznanej wbrew komukolwiek i czemukolwiek; wolni ku budowaniu szczęścia na tej ziemi, radości, piękna; wolni ku usuwaniu wszystkiego, co życie poniża, co człowieka krzywdzi, co odbiera sens jego ziemskiemu, jedynemu, niepowtarzalnemu istnieniu.

NASZA PRAWDA

Dlaczego tyle przybywa do nas książek z szerokiego świata, a nasza polska książka nie trafia na rynek światowy? Nie trzeba myśleć, że świat nie interesuje się Polską i jej literaturą, ale cóż możemy powiedzieć swoją dzisiejszą produkcją literacką np. ojczyźnie Shawa, Galsworthy'ego, Huxleya? Która z naszych współczesnych książek przypomina choćby zdaleka Céline'a, Körmendy'ego, Ange Seidler? W masowych tłumaczeniach z literatur obcych bierzemy od świata akurat to, czego nam brak w literaturze własnej: śmiały, prawdziwy obraz życia ludzkiego na jego najróżniejszych odcinkach. Gdybyśmy spróbowali odtworzyć rzeczywistość polską bez upiększeń wątpliwej wartości, bez stylizacji tendencyjnych i ogólnikowości „walorów", świat trafiłby do nas napewno.

Oczywiście, gdy się mówi całą prawdę, to niekoniecznie trzeba ją mówić tak, aby ktoś miał wrażenie, iż to się mówi jemu na złość, w gniewie i podnieceniu. Wystarczy najzupełniej spokojne odtwarzanie rzeczywistości w wielkich linjach syntetycznych. Nie to jest ważne, co się mówi, ale co się robi, co olbrzymia większość ludzkości dzisiejszej robić musi wbrew wyblakłym i zwiędłym ideałom średniowiecza i feudalizmu. Świat, w którym żyjemy, żyć musimy, nie jest nasz, ale jest to nasza ziemia obiecana. Musimy go zdobyć. Nie mechanicznie, bo to zdobycz nietrwała, ale sercem i umysłem. Musimy go przepoić swą miłością człowieka i życia, mocną dobrocią i dobrotliwą mocą, nieustępliwą wolą szczęścia wszystkich. Spróbujmy oderwać się ostatecznie od ideałów, które straszą jako upiory i dajmy wyraz spokojny i wyrozumiały temu światu bezprzykładnej nędzy i wspaniałych obchodów kościelnych i świeckich. Dajmy obraz życia człowieka bezrobotnego, wierny, prawdziwy, bez wszelkiej przesady, która osłabia wrażenie, odtwórzmy życie przeciętnej młodej kobiety, służącej, urzędniczki, robotnicy, z tem wszystkiem, co składa się na jej istnienie, a zobaczymy, jak skwapliwie czytelnik sięgać będzie po wyraz prawdy polskiej, po obraz rzeczywistości, zagadywanej dotąd „walorami".

Dzieło literackie to nietylko piękno formalne, ale przedewszystkiem prawda, do której dociera tylko mądrość miłująca człowieka. Dzieło literackie, a więc dzieło sztuki, to sprawa szlachetnego charakteru, a nie wyczyn fantastyczny próżnej i głupiej ambicji. Wspomniany już krytyk czeski, F. X. Šalda, napisał w swym testamencie m. inn.: „Nie życzę sobie czci pośmiertnej w postaci mianowania imieniem mojem gmachów, ulic, instytucyj, albo wypisywania imienia mego na tablicach pamiątkowych i t. d. Imię moje pisane było na wodzie, na falach czasu, na wietrze i one je odniosły lub odniosą precz. Postąpią z niem prawowicie i sprawiedliwie". Šalda był wielkim krytykiem i nauczycielem swego narodu. Wiedział, że sława to nietylko imię wyryte w marmurze, ale też czyny czy choćby uczynki, które pozostają po nas bezimiennie, lecz działają cuda przeistaczania człowieka.

O dziele literackiem możnaby pisać dużo. Ale najważniejsze, co jest do powiedzenia, to to, że tworzy zawsze i wszędzie tylko miłość. Dodajmy: miłość mądra, roztropna, kierowana dobrą wolą i charakterem. Dzieło ambicji popadnie w rychłe zapomnienie razem z „walorami", ale to, co napisze miłość współczująca człowiekowi cierpiącemu, zostanie. To chciałbym powiedzieć tym młodym przedewszystkiem, którzy rwą się do pióra i na swoje szczęście jeszcze nie są obarczeni wpływami. Niech się ich strzegą, niech od nich uciekają, jak od zarazy mordującej wolność duszy i niech się inspirują miłością. Nie miłością ckliwą, ale twardą czasem, zawsze mądrą i szlachetną miłością twórczą. Wtedy dadzą nam dzieło literackie, na które wszyscy czekamy jako na objawienie prawdy wszechludzkiej naszego polskiego odcinka świata.

Paweł Hulka-Laskowski

ZOFJA LISSA

CZY PITHECANTROPOS NAUCZAŁ METODĄ OBRAZKOWĄ?

Ten dziwaczny artykuł jest konsekwencją pewnej dyskusji w gronie malarzy, próbujących z punktu widzenia materjalizmu dziejowego wyjaśnić genezę i rozwój malarstwa. Któryś z entuzjastów tej metody myślowej rzucił między innemi uwagę, że rysunki na ścianach grot prymitywnego człowieka miały już podłoże utylitarne, służyły mianowicie celom pedagogicznym. Wtedy wraz z próbą wyjaśnienia tych rysunków od strony totemów, protest mój przeciw wulgaryzowaniu metody materjalistycznej znalazł wyraz w pytaniu: „Czyż wyobrażacie sobie, że *pithecantropos erectus*, który ledwo podniósł się z czworaków i zaczął patrzeć na świat pod kątem prostym, mógł już nauczać swe potomstwo metodą obrazkową?".

Scena ta — pozornie krótki fragment dyskusji między artystami — jest jednak wyrazem spraw głębszych i istotniejszych, spraw, dręczących współczesnego inteligenta, który, nie mogąc nawiązać inaczej, pragnie od strony filozoficznej nawiązać do pewnej postawy społecznej. Jest wyrazem problematyki młodego pokolenia artystów, którzy nie znajdując w swem środowisku odpowiedzi na pytanie „co dalej", usiłują ją znaleźć w systemach myślowych, związanych z tą czy inną tendencją społeczną.

Człowiek współczesny w pewnym sensie nie różni się zbytnio od człowieka średniowiecza. Tak jak on żywi gorącą potrzebę monistycznego wyjaśnienia całokształtu bytu, wyprowadzenia z *jednej* zasady myślowej wszystkich przejawów życia. Wprawdzie nie szuka tej zasady już w religji, ani w idealistycznych, spekulatywnych systemach filozoficznych, ale opierając się na zdobyczach nauk przyrodniczych XIX. w. szuka jej nadal z uporem kogoś, kto boi się własnej wolności myślenia, z zacietrzewieniem człowieka, którego ogarnia strach przed ogromem i skomplikowaniem świata, przed odpowiedzialnością za to, co się w nim dzieje. Szuka, jak ktoś, kto tęskni za ostatecznem, definitywnem założeniem, któreby zdjęło mu z bark ciężar samodzielnego wartościowania zjawisk, organizowania świata, który nań zewsząd napiera, — trudnego, skomplikowanego, wymykającego się z rąk. Taką deską ratunku, czemś, co mechanizuje świat i usuwa wszelką problematykę istnienia jest dla jednych ludzi — rasizm, dla innych — nieprzemyślany, niewywalczony, nieprzeżyty do głębi — materjalizm dziejowy, materjalizm, przejmowany bezmyślnie wraz z antyfaszystowską postawą wobec zagadnień społecznych. Tu właśnie zaczyna się dokonywać dewaloryzacja tego systemu myślowego, wulgaryzownie metody, niebezpieczne zarówno dla tych, którzy się nią posługują (gdyż w pewnej chwili uderzają czołem o ścianę spraw, dalej na tej drodze niewytłumaczalnych) jak i dla samej metody, która w oczach poważnych myślicieli traci swą wartość naukową — jest tylko religją współczesnych bezbożników.

Pragnąc w sposób twórczy stosować materjalizm dziejowy na terenie zagadnień kultury, musimy nań spojrzeć z punktu widzenia jego własnych założeń i w duchu tych założeń stwierdzić, że i on jest jednym z wielu możliwych poglądów na świat. Przyznanie tego, że jest on *jednym z wielu*, zakłada stanowisko metafizycznie pluralistyczne, które posiada swoje trudności (przedewszystkiem trudność pogodzenia różnorodnych założeń). Ale właśnie metafizyczną ułudą, przeciw której materjalizm walczy, jest przypuszczenie, jakoby z jednej zasady myślowej, z jednego aspektu można kiedykolwiek wyjaśnić całokształt zjawisk świata. Każdy nowy as-

pekt, nowe zasady myślowe wyjaśniają inne strony zjawisk, tworzą nowe zagadnienia i już temsamem wzbogacają naszą wiedzę o świecie. Toteż antymetafizyczna postawa determinizmu ekonomicznego i wynikającej z niego materjalistycznej metody *musi* przyjąć *wielość* zasad.

Dla różnych epok dziejowych, różnych etapów myśli ludzkiej waga jakiejś zasady była rozmaita. To, jakie znaczenie ma w danej epoce myśl filozoficzna tego lub innego typu, jest zdeterminowane bazą materjalną. Ale nie chcąc popaść w impotencję ortodoksyjności, musimy przyjąć, że w zakresie zagadnień kultury nie można wszystkiego wyjaśnić determinizmem ekonomicznym. Jakkolwiek w zakresie sztuki materjalizm dziejowy wyjaśnia bardzo wiele, daje wgląd w podstawy wielu zjawisk, nie ogarnia i nie tłumaczy jednak *wszystkiego.* Schemat: podbudowa — nadbudowa, aż do wyświechtania nadużywany w różnych polemikach zawiera dla myśli bardziej wgłąb drążącej, trudności, ponad które nikomu nie wolno przechodzić do porządku. Michał Anioł powiedział kiedyś: „Moja wiedza zrodzi mnóstwo nieuków“. Podobnie mógłby powiedzieć twórca materjalizmu dziejowego.

Gdyby łańcuch ogniw, idący od bazy nagiego życia, walki o jego wartości materjalne, aż do twórczości artystycznej człowieka, był jednolity, a każde ogniwo tego łańcucha przyczynowego jednoznacznie określone, możnaby przyjąć tezę materjalizmu dziejowego jako jedyną, wystarczającą i konieczną zasadę w wyjaśnianiu zjawisk nadbudowy. Ale w tym łańcuchu — zwłaszcza w odniesieniu do spraw sztuki — istnieje jedno ogniwo, którego działanie jest zdeterminowane *wieloma i wielorodnemi* przyczynami, nietylko natury materjalnej i społecznej. Tem ogniwem jest właśnie *człowiek,* którego twórczość, a przedewszystkiem struktura psychiczna, źródło bezpośrednie wszelkiej twórczości, podlega oddziaływaniu szeregu innych czynników. Nie wszystko w twórczości i w działaniu człowieka daje się sprowadzić do wpływu bazy materjalnej, Przyczyny, działające poza nią i niejako mimo niej, możnaby razem ująć jako osady *biologicznej* natury. W tych ramach możnaby wydzielić różnorodne współczynniki. Przedewszystkiem czynnik *odmiany* w ramach gatunku *homo sapiens,* który niewątpliwie wpływa na to, że w psychice ludzi tej samej epoki, tej samej klasy społecznej i t. p. inaczej załamuje się obraz świata, inne reakcje są odpowiedzią na to samo zadziałanie podniet zewnętrznych, a temsamem inna jest ich sztuka. Następnie nie wolno pominąć tego współczynnika, jaki tworzy *typ* Kretschmerowski człowieka; i od niego w silnym stopniu zależy rodzaj aktywności danego indywiduum, a w sztuce kierunek, styl, ogólny charakter twórczości. Działanie tych dwu niezmiennych współczynników kształtuje od strony biologicznej także aktualny *stan fizyczny* jednostki twórczej. Ilość wydzielanych przez gruczoły hormonów modyfikuje w pewnym stopniu intensywność, a nawet charakter twórczości człowieka. Biologicznie również, choć inaczej, uwarunkowany jest *typ rozwojowy,* do którego człowiek należy. W tej samej chwili dziejowej, w tych samych warunkach zewnętrznych żyją obok siebie ludzie, przynależni właściwie w swym stosunku do świata do różnych okresów dziejowych, do różnych etapów rozwoju człowieka. Niezależnie od wychowania i środowiska, od klasy społecznej czy typu antropologicznego, żyją oni dziś kategorjami antyku, średniowiecza, romantyzmu lub dnia dzisiejszego, które przeświecają w nich poprzez dzisiejszy styl życia. Jakaś psychogenetyczna regresja, niewiadomo od czego zależna, przebija się w nich poprzez nawarstwowienia obecnej cywilizacji, współczesnej wiedzy, dzisiejszych pojęć. (Który z tych typów regresyjnych waży najsilniej na przemianach, zachodzących w dniu dzisiejszym — jest kwestją, wymagającą osobnego rozpatrzenia; że nie jest nią człowiek „nowej rzeczowości“, racjonalista, jakiego wykształcił koniec XIX. i początek XX. w., z tego zdajemy sobie wszyscy dobrze sprawę). I ten moment ma swój wpływ na twórczość ludzką — niezależnie w pewnym stopniu od działania czynników zewnętrznych. Obok wyliczonych działają ponadto prawa czysto *psychologicznej* natury, niezawisłe od środowiska, epoki itp., jak prawa stępienia, znużenia, kontrastu itp., każące niekiedy szukać artystom nowych dróg — niezależnie od nacisku bazy materjalnej. W twórczości ludzkiej pewien głos mają również *autonomiczne* prawa, odmienne dla każdego typu sztuki, które (materjał, prawa konstrukcyjne itd.) narzucają twórcom niekiedy elementy, niezależne od oddziaływania innych czynników.

Wszystko to razem wzięte determinuje działalność twórczą człowieka, przedostatniego ogniwa w łańcuchu przyczyn i skutków, biegnących od bazy materjalnej do dzieła sztuki. Jasnem jest, — czemu nie mam zamiaru zaprzeczyć, — że baza materjalna i wynikające z niej warunki społeczne, organizacja życia zbiorowego, ideologja, kształtująca się na podstawie sprzeczności i napięć, które przenikają każdorazową strukturę gromady, wyciskają *swoje* piętno na twórczości, na jej środkach wyrazu, i na tem, co ona wyraża. Starałem się to w odniesieniu do pewnego działu sztuki(muzyki) wykazać na innem miejscu. Rozważania te kazały mi zwrócić uwagę na to, że nie wszystko da się od strony bazy materjalnej wyjaśnić, że działają tu i inne czynniki, które musimy uwzględnić, o ile nie chcemy faktów sztucznie naciągać do pewnej zasady w imię tego, że zasada ta jest związana z naszym światopoglądem społecznym. Nie chcąc popaść w jałową ortodoksyjność, musimy przyjąć pluralistyczną determinację człowieka i jego twórczości.

W medycynie istnieją pojęcia endogenicznych i egzogenicznych przyczyn chorób, t. zn. przyczyn, tkwiących w samym człowieku i takich, które istnieją poza nim. W wyjaśnianiu twórczości człowieka musimy przyjąć te same dwa pojęcia. Błędem zbyt ciasno pojmowanego materjalizmu dziejowego jest to, że ogranicza on się tylko do opisu współczynnika egzogenicznego, zewnętrznego. To, *co* człowiek przyjmuje i oddaje w swej twórczości, zależy od współczynnika zewnętrznego, nazwijmy go ogólnie społecznym; ale to, *jak* i *ile* przyjmuje ze świata, który go otacza, zależy od momentów, które ogólnikowo nazwałam biologicznemi. Wszelka teorja, wyjaśniająca sprawę twórczości człowieka od strony jednego z tych współczynników, zafałszowuje zjawisko, zamiast je tłumaczyć.

Tych parę myśli chciałam rzucić ku uwadze naszych domorosłych materjalistów. Spraw trudnych nigdy nie rozwiążemy przez ich upraszczanie. Możemy je najwyżej spłycić, zwulgaryzować, t. zn. usunąć z kręgu zagadnień ważnych. A tego chyba nikt z nas nie pragnie.

Zofja Lissa

HERMAN STERNBACH

O T. ZW. REWOLUCJI NIEMIECKIEJ

Artykuł Pawła Hulki-Laskowskiego „Istota rewolucji niemieckiej“ („Sygnały“, nr. 31), wywołał ogromne zainteresowanie. Otrzymaliśmy liczne artykuły dyskusyjne i polemiczne. Chociaż wnoszą one wiele nowych i ciekawych szczegółów, oświetlających zagadnienie hitleryzmu, nie możemy ich, niestety, umieścić spowodu braku miejsca. Ograniczamy się do artykułów Hermana Sternbacha i Stefana Franka, przedstawiających „rewolucję niemiecką“ z dwu różnych stanowisk.

Nawiązując do rozważań Pawła Hulki-Laskowskiego, („Sygnały“, nr. 31), chciałbym zaraz na wstępie zaznaczyć, że nie należę do tych, którzy zjawisko zwane hitleryzmem uważają za wytłumaczone i załatwione, gdy je zbywają byle jakiem pogardliwem określeniem — przeciwnie, zdaję sobie należycie sprawę z mocy tego zjawiska, tem groźniejszego, że zrodziło się z absurdu i oparło na pseudonauką podmurowanym fałszu. Nie zmniejsza to w niczem jego grozy, bo siła absurdu, budzącego instynkty, może być wśród okoliczności niemniej magnetyczna i niemniej potężna, niż siła prawdy, przetwarzającej serca i uszlachetniającej ducha. Idea rasy, w szczególności zaś rasy nordyckiej, deifikowanej przez narodowy socjalizm, neguje świadomie rezultaty badań naukowych i urąga prawdom dziejowym . Z naukowego stanowiska rzecz biorąc jest ona — w czem wszyscy uczeni są ze sobą zgodni (oczywiście oprócz „rasologów“ nordyckich) — absurdem, jest zdaniem J. S. Huxleya i A. C. Haddona („We Europeans“) „fikcją polityczną“, mimo to nie przestaje być niebezpieczną. Jawnie i bez ogródek głosi i zaleca brutalność, zaborczość, prawo pięści, prawo zbójeckie. A to, co głosi i zaleca wobec innych, rozumie się: słabszych, stosuje przedewszystkiem do swoich, do rodaków, do „Volksgenossen“, jeśli ci nowej ideologji nie przyklaskują lub jej się wręcz opierają. Ilość obozów koncentracyjnych, jeszcze bardziej przerażająca ilość ich ofiar, ilość drakońskich nakazów, zakazów i kar, oporne i heroiczne wytrwanie przy „starych“ prawdach zarówno katolików, jak i protestantów kościoła wyznaniowego („Bekenntniskirche“) — nie mówiąc już o emigrantach — to wszystko wskazuje, że „hitleryzm jako potężne przeżycie zbiorowe“ nie zastygmatyzował jednak duszy *całego* narodu. I wśród tych, którzy idąc za wodzem wykrzykują, niby starogermańskie barditus „Sieg Heil!“, znajdzie się — jestem tego pewny — dość pokaźna ilość jednostek, wolnych jeszcze dziś wewnętrznie od stygmatu hitleryzmu. Nie zamykam oczu na fakt, że poza rycerzami konjunktury, członkami „świętej Femy“, bohaterami z Potempy, Orgeschau i Baltikum, Streicherem, Rustem i podobnymi przylgnęło do hitleryzmu także dużo Niemców — z przekonania, rozpaczy i z rozpaczą w parze idącej jakiejś wiary mesjanicznej. Jednak o ile chodzi o transformację dusz innych, to można o niej mówić chyba w tym sensie, w jakim można mówić o transformacji duszy żołnierza, gdy go do szturmu pędzi żandarm polowy. Terror — główny filar hitleryzmu — nie przetwarza duszy, lecz ją zabija. Należy przyznać rację Henrykowi Mannowi („Es kommt der Tag“), że „Trzecia Rzesza nie wychowuje charakterów, lecz moralne kaleki“, do czego zresztą dąży celowo i świadomie. Hitleryzm, „ideologja obłędu“, nie ma rządu dusz w tem znaczeniu, jak go mają głosiciele wielkich, zbawiennych haseł, nie może go mieć, bo jego ostatecznym celem wychowawczym jest bezduszność i bezmyślność. Hitleryzm boi się myślących, i dla niczego i nikogo nie żywi głębszej pogardy, niż dla intelektu i intelektualistów. Dla ich obrzydzenia mówi o nich jako o właściwościach żydowskich, a więc sprzecznych z istotą ludowości niemieckiej i jej niegodnych.

Wodzowie i podwodzowie rozmaitych sztabów, grup i oddziałów amplifikują ludowość przy każdej sposobności, i wskazując na glebę i wieś jako jej kolebkę i wieczną ojczyznę, zohydzają wielkomiejskość i tych wszystkich, dla których ona była lub jest miejscem i tematem tworzenia. Mówią o „literatach asfaltu“ („Asphaltliteraten“) i „poetach gleby“ („Dichter der Scholle“). „Poetom gleby“ nakazano urzędowo „uprzystępnić“ niejako narodowi ową ludowość. Pisarze, nie tyle z własnego popędu, ile raczej „dla rehabilitowania swej opinji“ i licząc na konjunkturę, „rzucili się“ na ludowość i poczęli fabrykować powieści, o których wierny wodzowi Helmut Giese w prawomyślnym dwumies. „Das Deutsche Wort“ (zeszyt 1/2 1937), mówi, że „nie są epiką, tylko poprostu śmieciem“. Powieści te mimo sezonowego i konjunkturalnego tematu nie miały wielu nabywców. Wnosić stąd wolno, że w sercu pisarzy konjunkturalnych ludowość nie zapisała się tak głęboko, nie stała się dla nich tak intensywnem przeżyciem, by się z niego zrodził choćby jeden twór o wartości artystycznej. Co więcej: epidemja ludowości w prozie niemieckiej zaczęła niepokoić, bo tensam Giese w tymsamym artykule („Bücher am laufenden Band“), zastanawia się nad tem, jaki obraz wyrobiłby sobie o dzisiejszych Niemczech na podstawie tych powieści obcy, który kraju tego nie zna i nic o nim nie wie. Pomyślałby sobie: „W sercu Europy istnieje naród, który ma mało miast, a nie ma żadnego przemysłu, który jak w czasach pierwotnych koloniści i bojowcy próbuje karczować, upłodnić, kolonizować i uprawiać wielkie lasy, trzęsawiska i pustkowia. I mimowoli będzie porównywał Niemcy z północną Norwegją, Finlandją i tą częścią Kanady, która leży na granicy północnego koła podbiegunowego“.

Mimo to nie da się zaprzeczyć, że idea ludowości ogarnęła w istocie znaczne sfery niemieckie, że się ją wpaja z równą gorliwością starszemu, jak i młodszemu pokoleniu, zwłaszcza zaś młodszemu, że się ją podaje ludziom jako oszałamiający haszysz, który ma dla nich być ekwiwalentem czy mistyczną rekompensatą za brak dóbr innych, podobnie jak dla każdego wierzącego nędzarza, wieczne zbawienie ma być rekompensatą za jego niedostatek i niedosyt życiowy na ziemi. A dla wielu, wielu — musi się to przyznać — ona tą rekompensatą jest naprawdę, i dochodzi tem silniej do ich świadomości, „wenn wir sie zusammen marschieren lassen“ — jak mówi jeden z czołowych działaczy partyjnych, Johann von Leers.

Czy to, co się stało w Niemczech, może się „odstać“? Sądzę, że tak. Skoro mogła przestać istnieć „cudowna wolność demokratyczna“ — jak ją słusznie i pięknie określa Paweł Hulka-Laskowski — „w której wolny obywatel niemiecki mógł krytykować nawet cesarza“, a młodzież niemiecka miała możność i wolność wyboru między teologiem Harnackem a ateistą — przyrodnikiem Haeckelem, skoro mogło przestać istnieć to, co stworzyła wolność, dlaczegożby tedy nie mogło zniknąć to, czego dokonały przemoc i terror? Skoro wreszcie wśród wielu sfer niemieckich usunięto nauczane przez szereg stuleci i kultywowane chrześcijaństwo, o którem Henryk Mann mówi: „Eine so tiefe Lehre verliert sich im Grunde nie“, dlaczegożby nie mógł przeminąć idący w przeciwnym kierunku rozwoju ducha ludzkiego narodowy socjalizm, który jednak ani tak głęboko nie sięgnął, ani tylu dusz nie pozyskał, co nauka Chrystusa? Legendy, autorytety, wiary i „mity“, narzucone siłą, nakazane paragrafem i utrzymywane groźbą prześladowań i kar, nie noszą w sobie zarodków wieczności, aczkolwiek jak na jedno życie ludzkie zdają się trwać za długo, ani nie zdołają — w to wierzę — tak radykalnie zmienić duszy ludzkiej, by ona już nigdy odmienić się nie dała. Nie łudzę się, że conajmniej jedno pokolenie niemieckie pozostanie już w służbie wynoszącego się nad humanizmem barbarzyństwa, będącego niezwykle groźnem niebezpieczeństwem dla „wszystkich usiłowań ludzkości europejskiej, idących w kierunku uniwersalizmu i kosmopolityzmu“, t. j. w kierunku pokoju. To prawda. Jeden z największych wśród Niemców współczesnych, Tomasz Mann, który przez długi czas przypatrywał się milcząco „wychowawczym“ metodom i poczynaniom nowych władców Niemiec, doszedł do przekonania, że „z obecnych rządów niemieckich nie może wyniknąć nic dobrego ani dla Niemiec, ani dla świata“. A nie można twierdzić, że Tomasz Mann swój naród i swoją ojczyznę mniej zna i mniej kocha, niż władający nią przybysz z Austrji i jego satelici.

Sprawa Nietzschego. Gdy Hitler doszedł do władzy, wyznawcy jego nietylko starali się „filozoficznie“ podmurowywać jego zakon, lecz także nadać mu poniekąd charakter ewangelicznego spełnienia się dawniej już głoszonych proroctw i zapowiedzi nordyckich Janów Chrzcicieli. Bo odrazu powoływano się na dwóch, na filozofa Fryderyka Nietzschego i poetę Stefana Georgego.

Czy zakonodawca sam znał dzieła Nietzschego i poezje Georgego, jest rzeczą wątpliwą. Biografowie jego twierdzą, że przynajmniej aż do napisania i wydania „Mein Kampf" czytał i znał tylko powieści Karola Maya i „Protokuły Mędrców Syonu". To jednak nie pomniejsza wcale jego znaczenia.

Określenia „Führer", „Jünger", „Gefolgschaft", „Neues (drittes) Reich" są jakby żywcem wzięte ze świata idei Georgego, ale poza słownym dźwiękiem nie mają one nic wspólnego z ich treścią, z ową wartościową substancją, jaką w nie tchnął poeta. Rozmiłowany w helleńskiej pięknodobroci (kallokagathia), którą sobie i uczniom swoim zalecał jako najpiękniejszy ideał, odgradzał się George jak najstaranniej od masy i okazywał jak najgłębszą pogardę dla głoszonego w Trzeciej Rzeszy kultu marsza i stada. Gdy narodowy socjalizm dostał w swe ręce władzę i począł „działać", George odżegnywał się od niego jak wierny od Belzebuba, i nawet najmniejszem, choćby symbolicznem, oświadczeniem nie zaznaczył, jakoby go cośkolwiek łączyło z „obudzonemi Niemcami" i ich poczynaniami, tak bardzo obcemi jego istocie i jego wizji o człowieku i państwie, o wodzu i uczniach. Wynosząc go najpierw aż pod niebiosa jako prekursora, zwiastuna i patrona nowej ewangelji, przekonali się niezadługo łowcy patronów, że wybór ich tym razem nie był trafny i wkońcu odwrócili się od niego, nietylko — jak twierdzi Rudolf Ibel („Völkische Kultur", 12, 1935) — dlatego, że do najbliższego koła jego należeli także Żydzi i że opiewany przez niego jako wzór germańskiej doskonałości Maximin był pono synem żydowskiego adwokata, lecz głównie dlatego, że „jego dzieło straciło na znaczeniu dla młodzieży niemieckiej, której doprawdy chodzi o zgoła co innego, a wcale nie o czyste człowieczeństwo", wskazane przez Georgego. Nic tak dobitnie nie charakteryzuje młodzieży hitlerowskiej, jak ta jej narzucona i wciąż wpajana pogarda dla czystego człowieczeństwa.

Zdetronizowano Georgego, a w jego miejsce mianowano innych poetów. Niejaki Fabricius „wykazał" nawet, że pierwszym narodowym socjalistą był już nikt inny, jak sam Fryderyk Schiller, autor „Pieśni o radości", twórca Don Carlosa! Inni znowu wysuwają na patrona wiary Goebbelsa i Streichera, równie nieszczęśliwego, jak genjalnego Hölderlina, którego odraza do prusactwa i wiecznie w nim gorejąca tęsknota do Hellady i helleńskości pogrążyły w ciemną noc prawie czterdzieści lat trwającego obłędu.

Wreszcie Nietzsche.

Niedawno czytałem w jednem z pism „narodowych" artykuł, w którym autor usiłuje dowieść, że Mickiewicz był zażartym antysemitą, co więcej, że antysemityzm jego pokrywa się w zupełności z ideologją i czynami dzisiejszych herosów „narodowych" na tym odcinku chwały. Można i tak... żaden wielki myśliciel, ani wielki poeta, zwłaszcza zaś nieżyjący już, nie może uchronić swoich myśli przed znieważaniem ich przez domyślnych interpretatorów. Wśród myśli wielkich duchów i szatan coś znajdzie dla *swego* komentarza. Mnie się zdaje, że się wyrządza krzywdę Nietzschemu, gdy się nim tłumaczy i pokrywa to, co się na wielu odcinkach dziś dokonywa w Trzeciej Rzeszy. Nietzsche nie może być uważany za orędownika zamierzeń i realizacyj narodowego socjalizmu. Jego teoretycy i heroldowie postępują z Nietzschem, tak jak ów autor sobie postąpił z Mickiewiczem, tłumacząc i usprawiedliwiając nim niejako Brześć, Przytyk, Częstochowę. Pomijam rozmyślnie wszystko to, co w rażącem przeciwieństwie do swych rzekomo „protegowanych" (!) Nietzsche mówi o Żydach — w szczególności zaś o znienawidzonym przez mocarzy Trzeciej Rzeszy, Heinem — przedrukuję tylko parę jego zdań o antysemitach i rasistach: „Walka przeciw Żydom była zawsze oznaką podłych, zawistnych i tchórzliwych natur. Nie znoszę ich, tych najnowszych spekulantów w idealiźmie, antysemitów. Ile zakłamania i bagna należy do tego, by w dzisiejszej mieszaninie — Europie postawić kwestje rasowe. Maksyma stąd: nie przestawać z żadnym człowiekiem, który ma udział w zakłamanym szwindlu rasowym". Zwrot do terrestryzmu w Niemczech, do ziemskości, choć nienowy, jest dziś, coprawda, silniejszy, niż kiedykolwiek przedtem, i na tym punkcie w istocie zazębia się teraźniejszość niemiecka o naukę Nietzschego, który kontynuując i pogłębiając naukę Heinego o nazarenizmie i hellenizmie nie uciekał się do spraw za- i nadziemskich, lecz całą swą miłość i zainteresowanie skierował ku ziemi i jej tworom, szczególnie zaś ku człowiekowi, jako przejściowemu stadjum do nadczłowieczeństwa. Nikt zaś nie może twierdzić, a najgoręcejby się zastrzegł przeciw temu sam Nietzsche, jakoby Hitler, Goebbels lub Streicher był nadczłowiekiem po myśli Nietzschego, rzesze partji narodowo-socjalistycznej reprezentowały ów przez niego wyśniony „naród panów" (Herrenvolk), a Trzecia Rzesza była tem królestwem, jakie sobie wyobrażał Nietzsche — „ein Ordensbund höherer Menschen, bei denen sich bedrängte Geister und Gewissen Rats erholen können". Elita, w pojęciu Nietzschego, ma obejmować reprezentantów wszystkich narodów i ras. Nietzsche chciał bowiem wydostać swój naród z kleszczy i ciasnoty prusactwa, które uważał za żywioł wrogi kulturze, i ograniczonego, tępego nacjonalizmu z jego ojczyźnianemi saturnaljami i nawrócić go do europejskości. Główny filar jego nauki — uniwersalizm — władcy i apostołowie Trzeciej Rzeszy puszczają mimo uszu, pomijają. Nie każdy Parteigenosse zna dzieła autora „Zaratustry". Nietzsche chciał Niemców włączyć w krąg kultury europejskiej, Rzesza zaś wyłącza się z europejskiej ludzkości i jej zamierzeń, jest — jak to trafnie określa Paweł Hulka-Laskowski — „masywem przeczenia, wyrazem votum separatum uniwersalizmu światowego", a więc przeciwieństwem tego, czego chciał ten wielki, „dobry Europejczyk" — Nietzsche.

W myśl teorji wodzów nowoniemieckich państwo nie jest dla obywatela, lecz obywatel jest dla państwa. Państwo jest wszystkiem, jednostka niczem. Państwo jest bożyszczem, molochem, któremu wszyscy (z wyjątkiem jego kapłanów) wszystko ofiarować powinni. Jest to zupełnie sprzeczne z poglądami Nietzschego, który głosił tytaniczne wywyższanie człowieka do rzędu bóstwa („die titanische Vergottung des Menschen"), wyszydzał państwo jako instytucję, „w której samobójstwo wszystkich nazywa się życiem" i — bardziej chrześcijański od niejednego chrześcijanina — zwalczał wszelką zaborczość polityczną i gospodarczą. I wreszcie tensam Nietzsche, który tak zapalczywie rozprawia się z chrześcijaństwem i pod którego „protektoratem" rzekomo Rzesza rozpoczęła i prowadzi bój z kościołem — pisze w „Die fröhliche Wissenschaft" co następuje: „Nie zapominajmy wkońcu, czem jest kościół, w przeciwieństwie do każdego państwa: kościół jest przedewszystkiem tworem mocarstwowym (Herrschaftsgebilde — nie wiem, czy dobrze oddane! (p. a.), który zapewnia ludziom najwyższy stopień uduchowienia i w moc duchowości tak dalece wierzy, że zakazuje wszelkich grubszych środków gwałtu — już przez to samo jest kościół wśród wszystkich wielkości instytucją dostojniejszą, niż państwo". Teraz zrozumiemy M. P. Nicolasa, który, coprawda przesadnie, nazywa Nietzschego („De Nietzsche à Hitler") nadchrześcijaninem („Sur - Chrétien"), w przeciwieństwie do jego dzisiejszych rodaków, których określa jako podchrześcijan („Sous-Chrétiens"). Ci bowiem, niewiadomo na jakiej podstawie, podawają się pod marką elity wodzów za nową szlachtę. To — twierdzi Nicolas — nie jest szlachta Nietzschego. On bowiem stoi z tamtej strony „panowania motłochu i tyranów". Dzisiejszy niemiecki Volksgenosse nie jest tym nowym człowiekiem z wizji Nietzschego; bogiem, którego z utęsknieniem oczekiwał Nietzsche, nie jest żadna wielkość lokalna z marką Nibelungów. Trzecia Rzesza oznacza wedle wywodów Alfreda Rosenthala („Nietzsches Europäisches Rasseproblem") raczej tryumf Wagnera nad Nietzschem, tryumf teatralności, tryumf megalomanicznej pozy nad istotnością. Także nawrót i naganianie do Wotana i Walhali stykają się raczej z operą Wagnera, niż z filozofją Nietzschego.

Dowodów zdrad wobec Nietzschego, którego wodzowie Trzeciej Rzeszy przywłaszczają całkowicie sobie, możnaby jeszcze podać bardzo wiele, ale to rozsadziłoby ramy niniejszego artykułu. Prawdą atoli pozostaje ich stosunek do „Antychrysta", którego ucieleśnienie pragną widzieć w nowym Dżyngischanie.

Wiadomo nagół, jak bardzo znaczna część ludności niemieckiej broni się przed hitleryzmem. Świadczy to o tem, że hitleryzm nie ogarnął *całego* narodu, nie przebudował duszy niemieckiej bez reszty i wyjątku. Mam na myśli nietylko niesłabnący, lecz wciąż wzrastający opór wyznawców „Kościoła wyznaniowego" („Bekenntniskirche") i katolickiego wobec zarządzeń i dekretów władz narodowo-socjalistycznych, zmierzających programowo i bezwzględnie do przebudowy duszy niemieckiej przez policyjne „wykurzenie" z niej starych dogmatów i niemniej policyjne przysposabianie jej do aryjskości. Nie mając szacunku dla ducha, rozumu i godności narodowy socjalizm wyobrażał sobie, że można 2000 letni kościół uniwersalny poprostu „rozwiązać", jak się rozwiązuje towarzystwo śpiewackie, sportowe lub inne.

Stanowisko kościoła katolickiego w Niemczech i jego wyznawców (którzy stanowią blisko 40% ludności), wobec bzdur rasowych i urzędowo, równolegle do dzielności Matyldy Ludendorff, propagowanego t. zw. neopogaństwa germańskiego („Neuheidentum") jest głośne i znane. Dotychczas (prawda, że i tu są wyjątki), nagół nie uległo zmianie mimo procesów i kar, prześladowań i zakazów. Przeciwnie: one wzmagają opór, hartują duszę, a zmuszając prześladowanych do tajności, pędzą ich do „katakumb". gdzie — jak wiadomo — żarliwość tembardziej się potęguje i wzrasta. — Żadnemu państwu nie udało się sprostać religjom katakumb, a żadna ziemska moc nie potrafi przebudować duszy, która zrosła się z myślą o niebie i w imię nieba zmaga się z przeciwnikiem. Duszy prawdziwie chrześcijańskiej, duszy w całej pełni ludzkiej (a jest takich w Niemczech więcej, niż to zdala stojącemu się wydaje), hitleryzm nie zdołał przebudować i nie przebuduje na przyszłość. Może ją tylko zgwałcić lub zabić. W tyranji bowiem walka o chleb nie uszlachetnia, a lęk o jutro i życie nie podnosi duszy.

Ciekawszą i bardziej zadziwiającą od opozycji kościoła katolickiego, którego istotną cechą jest przecież uniwersalność (katholikos) i którem eksterytorjalny aparat opozycję ułatwia, jest opozycja protestantyzmu, który przez 300 lat uchodził za religję państwową. Z niemniejszą żarliwością i stanowczością niż katolicy, przeciwstawiali się i przeciwstawiają potąd hitleryzmowi protestanci, ta ich część, która jawnie i niedwuznacznie wystąpiła przeciw zorganizowanemu przez państwo t. zw. kościołowi niemiecko - chrześcijańskiemu, odmówiła uznania i posłuchu zamianowanym przez państwo kościelnym führerom (biskupom Müllerowi i Jägerowi) — jedyny wypadek w Niemczech — i stworzyła nawet własną „rebeljancką" instytucję, kościół wyznaniowy (Bekenntniskirche). Wyznawcy jego przejrzeli zamiary nowych władców i nie mogli się w żaden sposób z tem pogodzić, że z Chrystusa chciano zrobić propagatora hitleryzmu, a z ewangelji komentarz do „Mein Kampf". Nie okazali skłonności do tego, by w myśl wskazówek führerów „wylać z naczynia, zwanego chrześcijaństwem, stare wino i napełnić je nowym fuzlem rasowych matactw albo bożyszczem państwa totalnego". Mimo, że kościół wyznaniowy został jeszcze w r. 1935 przez ministra Kerrla zakazany, jego wyznawcy zakaz ten zignorowali i nadal przeciwdziałają hitleryzmowi słowem i pismem, kazaniami w kościele i przemówieniami na zgromadzeniach poza kościołem, ulotkami, odezwami, programami i pieśniami. Mimo szpiclowania i denuncjowania kościoły wyznaniowe są zawsze przepełnione, a ulotki i pieśni rozpowszechnia się jawnie w tysiącach egzemplarzy. Przemówienia i ulotki są utrzymane w tonie ostrym i nie ukrywają swego wyraźnie negatywnego stosunku do nowej „nauki". Dla charakterystyki niedającej się przebudować duszy tych protestantów (podważkroć protestantów), godzi się zacytować parę miejsc z ulotki „Flugblatt des Nassau - Hessischen Landesbruderrates": „Ewangelicy, współwyznawcy, musicie wiedzieć, o co idzie. Do kogo mają należeć wasze kościoły? Czy do żywego Boga, który się objawił w Jezusie Chrystusie, czy do zmiennych wyobrażeń, które ludzie sobie robią o Bogu"? — „Co ma być głoszone w waszych kościołach? Wieczna prawda słowa Bożego, czy wieloznaczne mowy tych, którzy to słowo fałszują?" — „Kto ma mieć przewodnictwo w waszym kościele? Ci, którzy wam służą w miłości i prawdzie, czy też ci, którzy chcą panować w kościele gwałtem i podstępem?" — „Co mają słyszeć wasze dzieci na nauce religji? Świętą wolę Boga i wieść o Jezusie Chrystusie, czy legendy i bajki?" — „Powiedzą ci, zdecyduj się: „Kościół żydowski czy chrystusowy kościół Niemców". W rzeczywistości chodzi o coś zupełnie innego: Czy Jezus Chrystus jest wyłącznie panem kościoła, nauczycielem sumienia, wybawcą od śmierci i grzechu. Nie daj posłuchu tym, co o Starym Zakonie mówią, że jest księgą Żydów (Judenbuch). Oni tej księgi nie znają, jeśli ją znają, to mają lęk przed jej prawdą. Nie daj posłuchu tym, którzy nazywają apostoła Pawła zakłamanym rabinem. Pewnego dnia znieważą także Jezusa Chrystusa. Miej się na baczności przed szarlatanami! Oni chcą być mądrzejsi od słowa Bożego, a nie zadawali sobie trudu, by je zrozumieć".

„Rebelja" Kościoła wyznaniowego zatacza coraz szersze kręgi i przyjmuje coraz ostrzejsze formy (jak tego dowodzi choćby działalność aresztowanego niedawno pastora Niemoellera). Niecały naród jest skłonny zastąpić Chrystusa Wotanem, humanizm brutalnością, miłość bliźniego antysemityzmem, cześć dla godności ludzkiej zdziczeniem, sprawiedliwość gwałtem. Gdyby bowiem ta skłonność była widoczna, zbyteczne okazałyby się tylekrotnie wydane oficjalne przypomnienia, zarządzenia, nakazy i rygorystyczne presje. Niecały naród odstąpił od zasad człowieczeństwa tak daleko, jak jego wodzowie. Nie całego narodu dusza została przebudowana w myśl hitleryzmu. Przeciwnie, znaczna jego część obstaje po dziś dzień przy pierwszym artykule t. zw. „Barmer Erklärung" (rezolucji z Barmen) z 31 maja 1934, który opiewa: „Odrzucamy fałszywą naukę, jakoby kościół mógł i musiał za źródło swego zwiastowania oprócz i obok Jedynego Słowa Bożego uznać za objawienie Boga także jeszcze inne wydarzenia i potęgi, postaci i prawdy". Jest to wyraźna odpowiedź na jeden z najważniejszych punktów programu narodowo-socjalistycznego, gdyż on właśnie najsilniej godzi w duszę, dążąc do zupełnej jej przemiany i „totalnego" opanowania, co się równa prawie zupełnemu jej odczłowieczeniu. Z takiego przewidywania może wypływa oświadczenie duchowego autorytetu ewangelickiej opozycji, profesora Karola Bartha, że w tym stanie rzeczy trzeba będzie przejść do przewidzianej w „psalmach modlitwy o wyzwolenie z tyranji godnej przekleństwa" („Befreiung von einer fluchwürdig gewordenen Tyrannei").

Jeśli więc chodzi o możliwość zmiany tego, co się stało w Niemczech dzięki hitleryzmowi, nie podzielam pesymizmu Pawła Hulki-Laskowskiego. Przecież i ta „cudowna wolność demokratyczna", a przed nią klasycyzm niemiecki, dowiodły, że Niemcy mogą się jednak włączyć w krąg europejskiej myśli i europejskiej ludzkości. Tej zdolności nie udało się wyplenić z nich w zupełności hitleryzmowi. Z Henrykiem Mannem wierzę, że nadejdzie dzień, w którym ta zdolność okaże się żywotna i potrzebna. Za Benedetto Crocem zaś powtarzam: „Jeżeli więc komuś stawia się pytanie, czy do wolności należy przyszłość, powinien odpowiedzieć: coś o wiele lepszego — wieczność. Dziś mówi się o wolności z chłodem, pogardą i szyderstwem, a jednak ona istnieje w naszych instytucjach, obyczajach, postawie duchowej i dobroczynnie działa. Ale ważniejsze jest to, że idea wolności jest żywa we wszystkich szlachet-

STEFAN FRANK

REWOLUCJA W CUDZYSŁOWIE

Jak dalece zawodna jest wszelka koncepcja historjoficzna, usiłująca z idealistycznego punktu widzenia wyjaśnić pewne zjawiska dziejowe i wielkie ruchy społeczne, o tem świadczy dowodnie artykuł Hulki Laskowskiego o „Istocie rewolucji niemieckiej". Nie ulega wątpliwości, że pogląd autora na istotę przewrotu hitlerowskiego wynikł z chęci pogłębienia problematu i wydobycia na powierzchnię tych elementów, o których w aktualnej dyskusji politycznej naogół się nie pamięta. Z drugiej jednak strony przez zlekceważenie momentów istotnych a podkreślenie nierównie mniej ważnych, przez statyczne ujmowanie zjawisk jako absolutnie niezmiennych i odwiecznych, Hulka-Laskowski nie dotarł do podstaw zagadnienia, komplikując je tam, gdzie było proste, a upraszczając znowu tam, gdzie aż bije w oczy komplikacja. Zawiniła tu metoda autora, zawiniły nieprzekonywające analogje i zbyt szybkie uogólnienia.

Każdy ruch społeczny posiada dwa aspekty: jeden, potencjalny wyraża się w programie, w całym arsenale haseł i konstrukcji ideologicznej, która ma danemu ruchowi udzielić sankcyj dziejowych, moralnych i filozoficznych. Drugi, to praktyka. Rzecz jasna, że w ocenie historycznej, której nie należy oczywista utożsamiać z wartościowaniem moralnem, główną wagę posiada właśnie drugi moment, praktyczno-aktualny, gdy znaczenie aspektu programowego nosi raczej charakter demaskatorski. Bo właśnie z konfrontacji programów i osiągnięć wysnuć się potem dają sądy o: 1) wartości dziejowej programu, 2) o intencjach jego twórców, 3) o istocie całego ruchu. Zdaję sobie sprawę, że są to truizmy, ale powtarzam je dlatego, że Hulka-Laskowski w swojej analizie hitleryzmu wychodzi z założenia, iż „nie należy oceniać hitleryzmu powierzchownie, według tego, co on sam mówi o sobie, i czego dotychczas dokonał". Odrzucając jako powierzchowne badanie teorji i praktyki hitleryzmu, autor skłonny jest szukać kryterjów gdzieindziej, a mianowicie w „idei ludowości" i w antyuniwersalizmie. Jak zatem widzimy, autor mimo wszystko korzysta częściowo z tego, co sam hitleryzm mówi o sobie, bo wszak „Volksheit" powtarza się do znudzenia i w rozmaitych warjacjach w programie partyjnym oraz w wypowiedziach czołowych teoretyków NSDAP. Czy jednak tą drogą można poznać hitleryzm? Czy treść pojęcia „narodowy socjalizm" jest tak nieskomplikowana? Spróbujmy ustalić przedewszystkiem czy można nazwać hitleryzm rewolucją niemiecką, jak to zrobił Hulka-Laskowski. Trafną jego definicję rewolucji, podaną na wstępie omawianego artykułu, należy tylko rozszerzyć o jeden moment. Zdaniem naszem w samem pojęciu rewolucji mieści się również zmiana treści. Uznaje to Hulka-Laskowski, pisząc: „Narodowy socjalizm jest walką o nową treść". Otóż aby móc ustalić, czy to twierdzenie odpowiada prawdzie, należy zbadać, co hitleryzm zmienił dotąd w „treści" rzeczywistości niemieckiej. W książce swej o „Niemieckiej nocy św. Bartłomieja" Otto Strasser zestawia bilans jednego roku władzy hitlerowskiej (30. I. 1933—30. I. 1934) i stwierdza, że bilans ten jest smutny. System wielopartyjny zastąpiono jednopartyjnym, nie zlikwidowano Reichstagu, instytucji tak bardzo znienawidzonej przez czerwonych i brunatnych wrogów parlamentarnego demoliberalizmu, nie zastąpiono go reprezentacją korporacyjną, nie urzeczywistniono po dziś dzień jedności państwa, tolerując w dalszym ciągu odrębności partykularne, a wreszcie nie zrealizowano też hasła jedności narodu. Porównując „rewolucję" hitlerowską z rewolucjami Cromwella, francuską i rosyjską, Strasser podkreśla: „Tamte rewolucje zburzyły wiekowy porządek, system hitlerowski jednak ograniczył się do prześladowania żydów, torturowania marksistów-rodaków („Volksgenossen") i chwalenia rewolucyjnych aktów gwałtu bez urzeczywistnienia dzieła rewolucyjnego". Hasła sprawiedliwości społecznej, wyrażone w 25 punktach programu narodowo-socjalistycznego, pozostały na papierze. „Kto wierzy jeszcze w Niemczech w kapitalizm? Naród niemiecki jest od lat przepojony w 95% nieczłowieczą głęboką antykapitalistyczną tęsknotą, i jedynie nieudolność regime'u hitlerowskiego i zdrada partji hitlerowskiej... utrzymują w Niemczech system międzynarodowego kapitalizmu przeciw 95 proc. narodu niemieckiego". Zdaniem Strassera „epokę hitlerowską" cechuje napięcie między istniejącemi jeszcze reakcyjnemi formami bytu państwowego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, a potężniejącą coraz bardziej świadomością rewolucyjną narodu.

Już same okoliczności, w jakich hitleryzm doszedł do władzy, nie miały w sobie żadnych akcentów rewolucyjnych. Nie było tu wcale rozbicia starego aparatu państwowego i zbudowania nowego, na innych już opartego podstawach, nie było dramatycznej walki o władzę między tymi, którzy ją dzierżyli, a tymi, co chcieli ją posiąść: zamiast tego wszystkiego nastąpiło zupełnie poprawne i zgodne z konstytucją weimarską powołanie przez sędziwego marszałka polnego nowego gabinetu z Adolfem Hitlerem, jako kanclerzem. Hitleryzm zdobył władzę całkowicie legalnie (od nieudanego puczu z roku 1924 Hitler był przeczulony na punkcie legalizmu), bez walki z Reichswehrą (szef jego sztabu, kpt. Röhm utrzymywał z nią ścisły kontakt) i wrastał szybko, ale bez wstrząsów w aparat państwowy. W ten sposób zebrał stosunkowo łatwo owoce owej mądrej zasady taktycznej Hitlera, wyrażonej już w „Mein Kampf": wykorzystać wszystkie stojące do dyspozycji środki, jakiemi rozporządza demokracja parlamentarna, aby ją w rezultacie pokonać jej własną bronią... Poza drobnemi, w gruncie rzeczy małoważnemi przesunięciami, hitleryzm nie wniósł żadnych zmian zasadniczych czy choćby nawet formalnych. Rozbił wprawdzie potęgę organizacyjną proletarjatu, ale nie poto, by, jak wierzyli jego łatwowierni szturmowcy, stworzyć nowe państwo, socjalistyczne w treści, a narodowe w formie. Ustrój gospodarczy, a więc sam rdzeń społecznego bytu, pozostał niezmieniony. Wyzysk został tylko usprawniony pod opiekuńczemi skrzydłami wszechwładzy państwowej.

Hulka-Laskowski przywiązuje wielką wagę do idei „ludowości", którą hitleryzm „wprowadza w świadomość dzisiejszego pokolenia niemieckiego" i która „jest czemś, co się w mózgu narodu niemieckiego zapisało tak potężnie, jak wielkie zdarzenie, wstrząs, czy katastrofa zapisują się zawsze w mózgu jednostki". Otóż jeszcze przed analizą socjologiczną tej „Volksheit" hitlerowskiej, stwierdzić trzeba dla porządku, że w tym wypadku sam język niemiecki pomógł „dwoistości" czy raczej dwulicowości hitleryzmu. Słowo „Volk" oznacza w języku niemieckim równie dobrze naród jak lud. Mamy tu więc w innej nieco postaci ten sam konglomerat — foniczny czy ideowy?, — dzięki któremu baza społeczna hitleryzmu stała się tak szeroka, obejmując warstwy od reakcyjnego mieszczaństwa po rewolucyjne drobnomieszczaństwo, i sięgając nawet dalej jeszcze, po peryferje proletarjatu. Mówiąc poprostu „Volk" w dwoistem znaczeniu jako „Volk und Nation" odpowiada mniejwięcej (głównie emocjonalnie) pojęciu „national-socialismus". Do tego samego rzędu haseł - terminów należy również trzecia „idea" — „die konservative Revolution" — rewolucja konserwatywna, termin ukuty przez ideowego prekursora „Trzeciej Rzeszy" Moellera van der Brucka, a podjęty zarówno przez dzisiejszy oficjalny hitleryzm, jak i przez frondę Ottona Strassera.

Przyznać trzeba bezstronnie, że ta „Volksheit" i ów „socjalizm" z nieprawdopodobnego zdarzenia, to prawie nawskróś oryginalne hasła faszyzmu niemieckiego. Prawie oryginalne — bo jeszcze przed Hitlerem stosował je z powodzeniem (choć w innej nieco formie) Mussolini, jeszcze nie Duce Italji, w północnych okręgach robotniczych. Ale w faszyzmie włoskim ta demagogja socjal-radykalna miała o wiele mniejsze formy, nie obejmowała całych Włoch ani całej partji faszystowskiej i po dojściu Mussoliniego do władzy, schowana została do lamusa. Pozostały po niej tylko nikłe ślady w t. zw. Carta del Lavoro.

Z hitleryzmem zaś sprawa ma się inaczej. Był on od pierwszej chwili „robotniczy", „socjalistyczny" i „ludowy", taki też pozostał po dziś dzień. Pełna nazwa partji, która walczy z prawdziwym socjalizmem, z prawdziwą ludowością i z prawdziwym proletarjatem, brzmi: „Narodowo-socjalistyczna Niemiecka Partja Robotnicza". Historja ruchów politycznych, szczególnie zaś robotniczych, zna wiele dywersyj taktycznych, ale żadna z nich nie mogłaby nawet pójść w zawody z doskonałością i cynizmem tej dywersji niemieckiej. Jej siła i skuteczność są tembardziej zdumiewające, że na terenie niemieckim tego rodzaju demagogja występowała po raz pierwszy. Być zresztą może, że właśnie ta jej pierwszość zadecydowała o sukcesie: nie mając jeszcze żadnych, skompromitowanych poprzedników, mogła tem silniej oddziaływać na umysły. W ten sposób ziściło się marzenie najświatlejszych umysłów obozu burżuazyjnego, biadających od lat nad izolacją prądów mieszczańskich na nizinach społecznych. Nie kto inny, jak sam Werner Sombart, zwracał jeszcze w ubiegłem stuleciu uwagę na niezdolność partyj mieszczańskich (ściślej liberalnych) do skierowania wartkiego prądu proletarjatu w ich własne łożysko. Świetny socjolog żalił się wymownie w swojej książce o socjalizmie i ruchach społecznych, że liberalizm niemiecki obarczony jest od roku 1848 smutnem dziedzictwem: „dziwaczną trwogą przed czerwonym upiorem". Istotnie rewolucja mieszczaństwa niemieckiego w roku 1848 „składa się nagle, jak scyzoryk" (słowa Sombarta) i ucieka pod opiekę bagnetów pruskich w momencie, gdy daje znać o sobie, typowy dla każdej rewolucji burżuazyjnej, podziemny nurt mas ludowych. Tak więc już bardzo wcześnie, zanim jeszcze zdołano obalić feudalizm, liberalizm niemiecki zerwał wszelkie więzi z ruchem robotniczym. W ten sposób mieszczaństwo, pozbawione armji ludowej, musiało przegrać w walce z feudalizmem, z drugiej zaś strony partja socjaldemokratyczna była jedyną organizacją polityczną wielkiego proletarjatu niemieckiego, organizacją występującą przynajmniej teoretycznie przeciw burżuazji.

Izolacja mieszczaństwa niemieckiego potęgowała się coraz bardziej. Zjawisko to niepokoiło początkowo tylko tak przewidujących ludzi, jak Sombart, którzy rozumieli dobrze, że spokojne przypatrywanie się bez żadnych prób dywersji wzrostowi socjalizmu w szeregach robotniczych może się w przyszłości okazać fatalnym błędem. Wielka burżuazja, robiąc świetne interesy pod rządami kliki monarchistyczno-feudalnej i przekupiona przez tę klikę również zapomocą takich „idealnych" wartości, jak tytuły szlacheckie, rangi oficerskie i dostęp do „wyższych" sfer — wielka burżuazja zapomniała szybko o swej opozycyjności, stając się podporą reakcji hohenzollernowskiej. Dopiero po wojnie światowej, kiedy feudalizm niemiecki legł w gruzach, a widmo rewolucji społecznej stawało się coraz groźniejsze, burżuazja uświadamia sobie dostatecznie jasno konieczność rozbicia jedności orgnizacyjnej proletarjatu, a co za tem idzie i rozszerzenia własnej podstawy masowej. Zdaje sobie zresztą z tego sprawę i reakcja feudalna. Po klęsce puczu Kappa okazuje się dowodnie, że spółka junkiersko-kapitalistyczna może zwyciężyć nie zapomocą rewolty prawicowych związków kombatanckich, lecz przez jakąś akcję, która potrafiłaby za sobą porwać masy, a przynajmniej zneutralizować je w większości na wypadek nowego spisku. W zrewolucjonizowanych Niemczech, przepojonych w tym okresie nienawiścią do kapitalizmu i monarchji żadna partja jawnie mieszczańska czy jawnie junkierska nie może się pokusić o pozyskanie mas. Reakcja wyczuwa instynktownie, że rząd dusz zdobędzie nie bezpośrednio, ale za pośrednictwem ruchu masowego o pozorach ludowości (Volksheit). Trzeba odrobić za wszelką cenę dawne błędy liberalizmu. Tak właśnie rozumieje w roku 1919 poeta Dietrich Eckhardt, awanturnik o zacięciu romantycznem, nienawidzący republiki weimarskiej i marzący o nowem, „heroicznem" średniowieczu niemieckiem. Stworzenie partji ludowej (einer Volkspartei) dla zwalczania żydów i bolszewików — oto według niego najważniejsze zadanie chwili. Myśl tę rozprowadza szerzej bądź w nielicznych swoich artykułach bądź też w rozmowach ze znajomymi. Mówi o tem m. i. z swym przyjacielem Alfredem Rosenbergiem. Dochodzi do przekonania, że partja taka może stać się dopiero wtedy rzeczywistością, gdy znajdzie się dla niej wodza. A oto ideał wodza: „Nie musi mieć rozumu, gdyż polityka jest najgłupszym interesem na świecie... Ma to być robotnik, który umie przemawiać. Musi być kawalerem, bo wtedy dostaniemy kobiety" (cyt. Konrad Heiden: Adolf Hitler). Niebawem poznaje Eckhardt Hitlera i aż do swej śmierci jest jego mistrzem i opiekunem. Sprawa reakcji niemieckiej jest na

---

nych głowach całego świata". Zanim jednak ten dzień nadejdzie, może koszmarny potwór hitleryzmu, unieszkodliwiwszy wprzódy przemocą dusze oporne, obrócić świat w perzynę, jeśli ten da się uśpić lub zarazić, jeśli obojętnie przymknie oczy na zmagania z hitleryzmem w obrębie (i poza obrębem) Rzeszy i jeśli wreszcie „nie zechce zrozumieć jego jasnych i wyraźnych słów", głoszących „prawo i powołanie do panowania nad innymi, nad wszystkimi".

Mam jednak wrażenie, że świat zaczyna te słowa rozumieć...

Herman Sternbach

dobrej drodze. Los daje jej znakomitego organizatora, który zdobywa wpływ na zrujnowane i zrozpaczone warstwy średnie, na wykolejoną młodzież bez przyszłości i rzesze kombatanckie, nie mogące się już pomieścić w nowych warunkach powojennych. Tak wygląda w zarysie geneza i rozwój owej idei „ludowości“, której tak wiekopomne znaczenie przypisuje Hulka-Laskowski. Nie byłby jednak ten wywód genetyczny zupełny, gdybyśmy nie uwzględnili jeszcze jednego, bez porównania czystszego źródła „ludowości“. Jest niem antymarxizm („Los-von-Marks-Bewegung“), którego przedstawicielami stają się po wojnie młodzi ideolodzy i teoretycy drobnomieszczaństwa. Mają oni żywe poczucie krzywdy społecznej, zdają sobie sprawę z niedoskonałości współczesnego ustroju gospodarczego, ale są przeciwnikami socjalizmu naukowego, bo ten narusza sanctissimum drobno-mieszczanina — własność prywatną; ogranicza się jakoby do proletarjatu, przyznając mu w każdym razie bezwzględną supremację i rolę kierowniczą w dzisiejszym etapie walki klasowej; „skazuje na śmierć“ klasy średnie; posiada filozofję materjalistyczną; jest „oschły“ i „doktrynerski“, a stanowczo zamało romantyczny; jest wreszcie „antyindywidualistyczny“. Ci drobnomieszczańscy krytycy marxizmu są naprawdę rewolucyjni. Pragną naprawdę obalić panowanie wielkiego kapitału i junkrów pruskich. Są bojowi i dlatego wszędzie, gdzie mogą atakują pospołu z komunistami „oportunistyczny reformizm“ niemieckiej socjal-demokracji, o której już stary Sombart powiedział, że „cechuje ją całkowicie antyrewolucyjna, ściśle parlamentarna taktyka“. Rewolucyjni antymarxiści przeciwstawiają socjalizmowi „proletarjackiemu“ — „socjalizm ludowy“, proletarjatowi — „lud“, obejmujący wszystkie klasy pracujące narodu niemieckiego, a więc także i proletarjat, ale nie jako warstwę przodującą. Wychodząc z założenia, że każdy naród wytwarza sobie właściwe formy ruchów społecznych, występują przeciw internacjonalizmowi i proklamują odrębny, narodowo-ludowy socjalizm niemiecki. Ten prąd, subjektywnie uczciwy, staje się po wchłonięciu go przez hitleryzm, wygodnym parawanem reakcji. Hulka - Laskowski wyraża przekonanie, że wodzowie narodowego socjalizmu wierzą w to, co głoszą. Wynikałoby stąd, że niema w hitleryzmie zakłamania i przepaści między teorją a praktyką. Skoro bowiem człowiek czynu wierzy w to, co głosi, to stara się wprowadzić to w życie. Hitleryzm nie zanotował dotąd ani jednej tego rodzaju próby, wprost przeciwnie — od pierwszej chwili po dojściu do władzy postępuje wbrew swemu programowi, wbrew swej ideologji „ludowej“ i „socjalistycznej“. Jakżeż można wierzyć w tę ideologję, kiedy się jeszcze wczoraj maszerowało w szeregach reakcyjnego korpusu ochotniczego Ehrhardta i śpiewało taką oto wdzięczną pieśń:

Robotniku, robotniku, cóż się z tobą stanie,
Kiedy brygada Ehrhardta gotowa do walki (powstanie?
Drze wszystko w strzępy Ehrhardta bry-(gada.
Robotniku, synu ulicznicy, biada ci, biada!

(Cyt. Edgar Mowrer: Niemcy cofają wskazówki zegara).

Hitler tolerował dopóty tendencje socjalistyczne w swej partji, dopóki chciał kaptować sobie robotników. Kiedy jednak reakcja, która go finansowała, poczęła okazywać wielkie niezadowolenie z poczynających sobie coraz śmielej radykałów narodowo-socjalistycznych, Hitler załatwił się szybko z lewicą partji, pozbawiając całkowicie wszelkich wpływów obu braci Strasserów. Młodszy, przejrzawszy intencje wodza, który zresztą przyznał mu się zupełnie otwarcie do tego, że nie myśli naserjo o socjalizmie, stworzył frondę. „Czarny Front“, to secesja rewolucyjnych elementów „ludowych“, które przekonały się zapóźno, że hitleryzm nie jest bynajmniej „walką o nową treść“.

Hulka-Laskowski zwraca uwagę na to, że „wielkie ruchy niemieckie są ruchami wybitnie ludowemi i to nietylko w realizacji, ale także w genezie“. Powołuje się oczywista na przykład Reformacji, podkreślając, że wówczas rząd dusz w Niemczech nie stał się udziałem szlachcica v. Huttena, lecz Marcina Lutra, syna górnika i wnuka chłopa niemieckiego.

Reformacja niemiecka była nietylko prądem religijnym ale i... ruchem społecznym książąt, szlachty i mieszczaństwa, trzech grup, pragnących uwolnić się od nadmiernych ciężarów finansowych, nakładanych na nie przez papiestwo. Masy ludowe, jakkolwiek bezpośrednio niezainteresowane, poszły za Reformacją, wierząc, że rozwiąże ona w sposób rewolucyjny ich własną sprawę, że weźmie je w obronę nietylko przed wyzyskiem Rzymu, lecz również przed uciskiem ze strony książąt, szlachty i bogatych mieszczan. Jednem słowem, chłopi i proletarjusze miejscy Niemiec na przełomie wieków XV i XVI żywili podobne iluzje, jak współcześni adherenci drobnomieszczańscy hitleryzmu. Podobieństwa sięgają jeszcze dalej, bo aż do wodzów obu tych ruchów. Marcin Luter miał w sobie wiele z... Hitlera. Trafnie zaznacza Kautsky, że Luter wybił się głównie nie jako myśliciel, nie jako męczennik, lecz jako agitator. Będąc synem chłopskim rozumiał „potrzeby, uczucia i sposób myślenia niższych klas ludowych, umiał posługiwać się ich językiem, jak nikt z jego współczesnych, jak niewielu po nim“.

Klęska Huttena nie była bynajmniej czemś niezwykłem, ani zadziwiającem. Jakże mógł porwać masy ludowe człowiek, który nie znał ich języka, obawiał się trochę „pospólstwa“ i pisał głównie po łacinie dla warstw wyższych? Luter umiał trafić do duszy słuchacza chłopskiego swym wspaniale jędrnym, brutalnym językiem, ale umiał też, gdy zaszła tego potrzeba, być giętkim i dworskim dyplomatą. W pierwszej fazie Reformacji, pragnąc pozyskać masy ludowe, wysuwał hasła nawskroś rewolucyjne i bezkompromisowe, grożąc nawet czasem książętom niemieckim, że jeśli nie zmienią swej polityki względem ludu, to „rychło wybuchnie bunt, który w całych Niemczech zmiecie książąt i zwierzchność... Niemcy kąpać się będą w krwi“. Przy całej jednak rewolucyjności Luter dbał bardzo o legalizm i o łaskę księcia Fryderyka Saskiego. Toteż kiedy w Niemczech wybuchła wojna domowa, gdy rozgorzał płomień buntu mas ludowych, wzniecony przez Tomasza Münzera, wódz Reformacji zerwał jawnie z swymi rewolucyjnymi sojusznikami. Klasy społeczne, dla których Reformacja była w dużej mierze walką o ich ściśle materjalne sprawy, znalazły w Lutrze genjalnego agitatora, umiejącego dyskontować buntownicze nastroje mas dla ruchu reformacyjnego. Tak więc w gruncie rzeczy ludowość Reformacji jest tak samo problematyczna, jak ludowość hitleryzmu. Istnieje jednak między temi obydwoma ruchami zasadnicza, głęboka różnica: Reformacja była w ówczesnych warunkach mimo wszystko orędowniczką postępu, podczas gdy faszyzm niemiecki jest ostatnim bastjonem reakcji. W zasadzie spełnia on tę samą rolę dziejową w epoce zmierzchu kapitalistycznego, jaką odgrywało ongi Św. Przymierze w czasach walki feudalizmu z dążącem do władzy mieszczaństwem.

Gdy ludowość okazała się nie istotą, lecz frazesem „rewolucji niemieckiej“, rozpatrzmy teraz sprawę separatyzmu, drugiego elementu, będącego również zdaniem Hulki-Laskowskiego częścią składową istotnej treści hitleryzmu. Otóż stwierdzić musimy przedewszystkiem, że separatyzm czyli antyuniwersalizm charakteryzuje równie dobrze hitleryzm, jak każdy inny faszyzm. Hitler jest takim samym separatystą, jak Mussolini lub Degrelle. Nie wolno jednak utożsamiać ideologji faszystowskiej (wogóle wszelkiej ideologji klasy panującej) z rzeczywistemi przekonaniami i dążeniami narodu. Żadne objektywne dane nie upoważniają do takiego uogólniania, któremu historja zadaje kłam. Milczenie niezawsze jest równoznaczne ze zgodą: to, że w kraju dyktatury muszą milczeć w chwili obecnej miljony zwolenników humanitaryzmu i demokracji, nie daje bynajmniej podstaw do twierdzenia, że np. cały naród niemiecki opowiada się zgodnie za ideą narodowego socjalizmu. Temmniej dopuszczalna jest próba podobnego uogólniania w skali historycznej i wysnuwania w rezultacie wniosku, że separatyzm jest wyrazem odwiecznego instynktu narodu niemieckiego. Podany przez Hulkę-Laskowskiego na poparcie podobnych twierdzeń wywód historjozoficzny jest wysoce... ahistoryczny. Nie można bowiem w żadnej mierze utożsamiać imperjalizmu rzymskiego, czy napoleońskiego z uniwersalizmem w dzisiejszem znaczeniu. „Uniwersalizm“, dokonywany przez podbój innych państw i narodów, przez pozbawianie ich samodzielności politycznej i gospodarczej, nie ma nic wspólnego z wzniosłemi dążeniami do stworzenia braterskiej, pokojowej wspólnoty wolnych narodów i państw. W gruncie rzeczy faszyzm ma podobne aspiracje pseudo-uniwersalistyczne, jak „napoleonizm“. Mussolini marzy o potędze dawnego Imperjum Rzymskiego (które wedle Hulki-Laskowskiego reprezentowało uniwersalizm), a Hitler myśli na serjo o zapewnieniu Niemcom roli kierowniczej narazie w wielkiej krucjacie przeciw komunizmowi. Walka Niemiec z napoleońskiem cesarstwem Zachodu nie była wyrazem separatyzmu szowinistycznego, jaki głosi obecnie hitleryzm. Była to walka wyzwoleńczo-narodowa, prowadzona przez niemieckie masy rewolucyjne i przez mieszczańską demokrację przeciw obcemu panowaniu. Wodzowie tego ruchu byli przesiąknięci ideałami Wielkiej Rewolucji francuskiej i wrogo nastawieni wobec ówczesnego feudalizmu pruskiego, z którego tyle podniet i natchnień czerpie dziś hitleryzm.

Walka, prowadzona dziś przez Hitlera z Kościołem jest odcinkiem zmagań się separatyzmu z uniwersalizmem, totalizmu z przeświadczeniem religijnem, które, jak mówi Boutroux, „nakłania człowieka, aby przeciwstawił prawa Boga prawom Cezara, godność osobistą — przymusowi publicznemu“. (Cyt. Sorel: „O sztuce, religji i filozofji“). Skoro jednak Hulka-Laskowski w cesarstwie Napoleona dostrzega panowanie idei uniwersalistycznej, to dziwne się wydaje, dlaczego takich samych aspiracyj nie widzi w Świętem Cesarstwie Rzymskiem Narodu Niemieckiego, którego władcy nie walczyli bynajmniej z uniwersalizmem Kościoła, lecz tylko i wyłącznie z omnipotencją świecką papieży. W każdym razie warto przypomnieć, że z papieżami walczyli również królowie francuscy i cesarze... Napoleon I i III, a stosunkowo nie tak dawno i Mussolini, lecz nikt nie wysnuł z tych faktów wniosków o separatyzmie Francuzów czy Włochów. Wnioski takie byłyby równie uzasadnione, co historjozoficzne koncepcje Hulki-Laskowskiego, dotyczące Niemiec, zwłaszcza, że Gallowie przyczynili się w takim samym stopniu do upadku Rzymu, co Germanie.

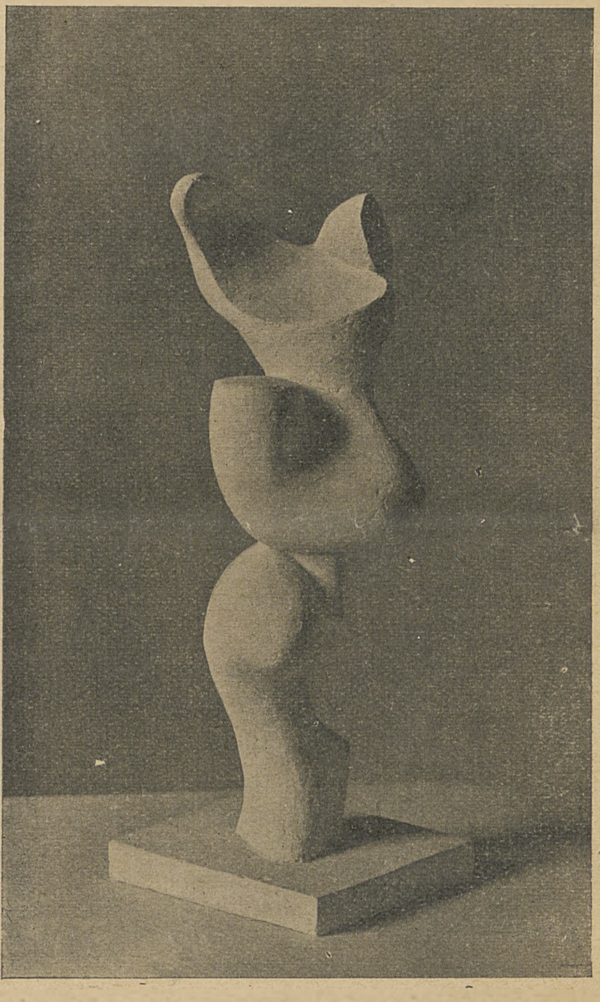
Rezultatem błędnych analogij historycznych i błędnego uogólnienia jest pesymistyczny wydźwięk omawianego artykułu: „... gdy jeden hitleryzm upadnie, przyjdzie inny, przyjść musi, może jeszcze gorszy i masywniejszy od obecnego“. Hitleryzm urósł tu, jak widzimy, do roli jakiejś ślepej, niszczycielskiej siły elementarnej, która z nieuchronną koniecznością co pewien czas nawiedza poprzez naród niemiecki nieszczęsną ludzkość. A przecież naprawdę hitleryzm jest zupełnie pospolitym, pozbawionym wszelkich cech apokaliptycznych, prądem faszystowskim, wcale nie gorszym i nie lepszym od np. „mussolinizmu“ i podobnie, jak on, jak wogóle wszelka reakcja wczoraj, dziś i jutro, skazanym na nieuchronną klęskę przez konieczność dziejową.

Stefan Frank

Z RZEŹBY



HOCHMANN
Mickiewicz (gips patynowany)



MARJA JAREMA
Kompozycja (gips)

P O L S K I E J



LUDWIK PUGET
Dziewczyna z kwiatami (gips)



XAWERY DUNIKOWSKI
Kopernik (gips)

AURA WYLEŻYŃSKA

MAURIAC—PISARZ KATOLICKI

François Mauriac oburza się („Gringoire", 10 lipca 36 r.), zarówno na klasowość literatury proletarjackiej, jak na powieść z życia wyższych warstw. Aby przetrwać wiry chwilowych konfliktów społecznych, powieść musi być ludzka, odnajdywać indywidualną historję, mogącą się zdarzyć każdemu z nas. W epoce, gdy jednostka abdykuje na rzecz zbiorowości, powołaniem pisarza-moralisty jest dać wyraz temu, co nie jest zarejestrowane, nie idzie pod żadnym sztandarem, nie rządzi się żadnem innem prawem, jak tylko własnem.

Mauriac jednak zaprzecza swoim twierdzeniom własną, bogatą, od kilkunastu lat trwającą działalnością literacką. Nie opisuje roli syndykatów, nie daje obrazu strajków, nie pogrąża się w „nieokreślonym liryzmie zbiorowości", ani też, jak niegdyś Bourget, nie chodzi po kosmopolitycznych salonach. Obraca się również w zacieśnionym świecie, przedstawia ludzi pewnego tylko klanu, burżuazję miejską i wiejską. Jest ich wyrazicielem, choć nie obrońcą. W „Kłębowisku żmij" — tytuł ten mógłby się odnosić do wszystkich jego dzieł — widzi jedynie brudne strony, które z lubością maluje na przestrzeni wielu kart, aby wkońcu prawie wszystkie „czarne anioły" wybielić. Nie siłą dobrego czynu, lecz biernem wypełnieniem sakramentu pokuty. Przemiana bywa się więc już za kulisami. Nowy człowiek chowa się za kurtynę życia w obawie, żeby znów nie popaść w grzech. Takie nawrócenie wygląda na tchórzostwo — nawet autora. Bohaterom swym nie potrafił dać odporności, dał im tylko przebiegłość. Nie odrodzenie, lecz zmazanie win może być zachętą dla złych, wygodną rezerwą wieczności z uniknięciem kary ziemskiej.

Pisarz, tak świetnie posługujący się psychologją, zadawala siebie, bo nie nas, uproszczeniem problemu, spowiedzią, przekreślającą przeszłość. Podobny jest w tem do szarytki, która obiecuje umierającemu, iż żal za grzechy zapewni mu zbawienie. Czy Mauriac stawiając czytelnika wobec zbyt naiwnego rozwiązania wielkiego dramatu, nie czyni tego dla spokoju sumienia, w ten sposób sankcjonując swe zamiłowanie do nikczemności, zbrodni, do fałszowania szczęścia? Mówi nie o pracy, lecz o papierach wartościowych, nie szuka ludzi pełnych życia, lecz stojących nad grobem. Ten świetny realista pogardza niemal tem, co zbyt zdrowe i piękne, rośnie i rozwija się, pasjonują go natomiast choroby i złe uczucia. Żądza własności silniejsza jest od pożądliwości ciała, chęć posiadania i harpagońska miłość pieniądza większa niż chęć używania. Wszystko to składa się na okrutny, z wielkiem znawstwem oddany obraz mieszczańskiego życia. Nie maluje go jednak na miarę balzakowskiej „Komedji ludzkiej", będącej wyrazem całej epoki, przedstawia tylko krąg rodziny, bogatej w potwory. Ci ludzie są źli nie dlatego, że zewnętrzne warunki postawiły ich w smutnych okolicznościach, że głód i ból kazały im gwałcić prawo lub przykazanie, ale dlatego, że choć syci i mogący żyć dla radości własnej i bliskich, pogrążeni są w niskich, materjalnych interesach. Dla interesu zawiązują i rozwiązują związki małżeńskie, dla utrzymania własności łamią swoje serca i drugich. Nie miłość łączy ludzi, lecz ilość posiadanych hektarów ziemi i kapitału, nie myśl o wspólnem dziś, lecz o przyszłym testamencie. Współżycie rodzinne, pełne wzajemnych zasadzek, opiera się na interesie i nienawiści. Kłócą się, a nawet niszczą dla pogardzanych przez kościół doczesnych bogactw, których nie zabiorą do zgóry im przeznaczonego drugiego świata. Są to bowiem wedle klasyfikacji Mauriaca ludzie wiary, czeka ich skuteczna pomoc kościoła, ostatniem namaszczeniem kasująca błędy żywota. W życiu doczesnem wiara nic im samym nie daje, tembardziej nie są przez nią lepsi dla innych. Mimo to w dobrej chwili zastosowana spowiedź pozwala umrzeć *in odore sanctitatis.* W ten łatwy sposób Mauriac otwiera szeregowi grzeszników drzwi do nieba. Demoniczny Czarny Anioł, Gabrjel Gradère, złemi palcami przebiera paciorki różańca. To ciało, do którego tyle wagi przywiązywał, umiera spokojnie, bo duch pewny jest wieczności, choć skutki jego czynów dalej wlec się będą po ziemi.

Czy Mauriac łatwością zbawienia nie dyskredytuje roli łaski? Czy pozgonna, niezasłużona nagroda nie ma na celu tylko wzmocnienia kościoła? Moralność tego katolickiego pisarza nie broni bohaterów przed ciągłemi upadkami, żyją oni na dwóch płaszczyznach: obecnej i, przekreślającej obecną, przyszłej, To jednak, że ludzie ci mają w sobie tradycje religijne, twórca ich uważa za rzecz naturalną. Nawet w tym, który traci wiarę, nie zanika postawa katolicka. Gabrjel Gradère nosi na sobie piętno szkoły wyznaniowej, w której podstępnie wygrywał na swojej pobożności i kłamstwem, dostając od pobożnych dam, większą niż inni porcję cukierków. Później, rozumując kategorjami religijnemi, powiesza się: „straciłem wiarę, a bez wiary nie można popełnić świętokradztwa". Ale tylko autor widzi niezatarte piętno sakramentu chrztu. Czytelnik ze zdziwieniem dowiaduje się, że bohaterka „Czarnych Aniołów", żyjąca, zdawałoby się, nie w duchu kościoła, przestała się spowiadać u młodego proboszcza, ulegając sugestji wsi, oburzonej pobytem u niego młodej kobiety, „napewno nie jego siostry". Może inny jest sposób patrzenia ludzi wierzących i niewierzących. Pierwsi skłonni są do podejrzeń, bez dowodów widzą wykroczenia przeciw moralności, drudzy są pobłażliwi, ale zato wymagają, aby praktyka szła razem z teorją. Dlatego uderzają ich u pisarza tak wysokiej miary, jak Mauriac, zarówno założenia, jak uproszczenia problemów, destrukcyjność jego religji, pasja artysty, aby malować zło, połączona z potrzebą katolika łatwego rozstrzygania o pozagrobowem zbawieniu złoczyńców. Toteż nie wiedząc o tem, pracuje na korzyść przeciwników, niszczy najwyższy swój ideał — rodzinę opartą na religji. Ateusz nie potrafiłby tak źle przedstawić katolików.

Kapłan, zastępujący Boga na ziemi, zdradza wielką nieznajomość i ziemi i Boga. Ten mistyk siostrę swą młodą i piękną — bo była jego siostrą wbrew opinji wsi — zmusza do powrotu pod dach rodzinny, aby znów stanęła u boku półwarjata, który ją katuje. Dusza, pełna modlitw, głucha jest na cudze prośby. Toteż zasługa nawrócenia jawnogrzesznika nie ma w sobie siły zwycięstwa dobra nad złem, tembardziej, że Gradère bardzo prędko był już „półnapół w niebie". Mauriac, jakby z pogardy dla ciała, obrzydza młodego proboszcza. Na pierwszej już parafji jest on bez wieku, brzydki, aż do śmieszności. Natomiast Gradère, mężczyzna lat pięćdziesięciu, który przeszedł wszystkie stopnie upadku, jak Dorjan Grey uwodzi pięknością i młodością. Chlubi się: „Od lat 20 posiadam tę samą wagę". Tylko przez chwilę ksiądz staje się ludzki — gdy wiara załamuje się na widok łatwości zbawienia złego człowieka.

Naogół jednak, autor, krążący koło śmierci, cmentarzy i chorób, nie umie opisywać młodości. W domach jego brak powietrza. Ilja Erenburg, który odwiedził Mauriac'a w 1913 roku, wyszedł z pięknego mieszkania z uczuciem przygnębienia. Dziś przypomina to sobie: „Zamknięte okna, szczelnie zapuszczone firanki, żeby nawet meble ukryte w pokrowcach nie straciły niewidzialnego blasku. Uderza zapach stęchlizny, zaduch, atmosfera fałszu rzeczy i myśli. Wielkie prądy nie odmładzają dogmatu, swobodne powiewy nie budzą ludzi, czas tam nie idzie".

Mauriac, oburzający się na zwężenie tematów dzisiejszych pisarzy, na ograniczenie ich do pewnego środowiska, wydał wyrok na siebie. W jego środowisku nic się jednak nie zmieni. Opisany przez niego z wielką namiętnością świat, ginie. Takiego świata nie będziemy żałowali. Jeśli ludzie Mauriac'a pozostają w pamięci w czarnej barwie, to aureolą otoczone są Landy, kraj rodzinny pisarza. Czar tego pejzażu prawie bez dekoracji, to południowe słońce, złoty piach, w którym nogi grzęzną, sosny w kształt krzyża nacięte, gorąca żywica, dająca bogactwo i zapach.

François Mauriac należy do pisarzy, mających łatwą karjerę. Nawet do Akademji wszedł bez konkurenta. Ten najwybitniejszy przedstawiciel mieszczańskiego świata cieszy się wśród swoich wielką powagą i zabiera głos w różnych sprawach obchodzących ogół. „Wychowanie dziewcząt" — na szczęście mały tomik (gdy czyta się jego powieści, żałujemy, że nie są jeszcze dłuższe) — ma odpowiedzieć na pytania, jakie obecnie stawiają sobie rodziny i jednostki. Mauriac mówi: „Nie wierzę w podbój świata przez kobietę. Jeśli pracuje, jest to wynikiem konieczności, a nie wewnętrznej potrzeby, w żadnym razie nie przynosi to ogólnego pożytku. Najbardziej udana karjera kobieca na dnie swem kryje jakiś brak życiowy lub pomyłkę. Strój zawodowy zawsze jest przebraniem". Natomiast, „zamiast starać się dorównać mężczyźnie lub przewyższać go, cóż piękniejszego, jak go — tworzyć? Nosić w swem łonie, karmić, wychować w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Dać życie najpierw ciału, potem duchowi". Mauriac odmawia kobiecie nawet — inteligencji. Jak wobec tego wyglądać może wychowanie ducha? Bardzo charakterystyczny jest dalszy ciąg jego wyznań: „Nie lubię prowadzić z kobietą rozmowy, która w gronie kolegów może być rozkoszą. Z nią rozmowa taka jest zawsze — zawodem. Od niej czekamy ujawnienia tajemnic, tyczących dziedziny uczuć". Samej kobiecie nakreśla rolę bierną. W „Fin de la Nuit", dając obraz kobiety dojrzałej, którą zawiodła ostatnia już pewno w życiu miłosna przygoda, imieniem jej mówi: „Co za szczęście móc spokojnie opłakiwać swe nieszczęście". Swoboda smutku w zamkniętym pokoju, to jest bierne zwycięstwo. Nie dąży do niego dzisiejsze pokolenie Francuzek.

Mauriac występuje często jako publicysta. Jego reakcje na wydarzenia bywają zupełnie nieoczekiwane, samorzutne i szczere. Nic więc dziwnego, że wśród pisarzy Frontu Ludowego panuje opinja: „Jest to przeciwnik, z którym należy się liczyć. Gdyby nie okoliczności, mógłby być naszym przyjacielem". W czasie wojny włosko-abisyńskiej stanął po

MARJAN PROMIŃSKI

POCAŁUNEK

Fragment powieści „Lüdigerowie"

— Panie à gauche, panowie à droite.

Było to na lekcji tańców. Staruszkowaty maestro z wdziękiem małomiasteczkowych fotografów i baletmistrzów przecwałował podskocznie między rzędami i ośmielił jednem zawołaniem kawalerów.

— Panowie wybierają!

Marjusz jak inni spojrzał błyskawicznie między lustra, żeby się zdecydować: obce niewyraźne twarzyczki. Szybko, aż dziwnie jak szybko, zbliżył się do wybranej, najkrótszą drogą, nawprost oczu. Obie strony miały za sobą po kwadransie ćwiczenia solo, na uboczu, podstawowych kroków (carée) do walca angielskiego. Przedstawił się i przyjęty, objął danserkę. Fortepian zaklekotał poważnie i radośnie. Marjusz był odrazu z wyboru zadowolony, to natchnęło, iż z miejsca zaczął mówić, kto mianowicie zorganizował te komplety taneczne, kolega Wojtek R., okropnie przedsiębiorczy, jedyny do takich imprez, bez niego wógóle nie można sobie pomyśleć jakiejś zabawy, i że nastrój, prawda, zapowiada się doskonały? O posadzce nic nie powiedział, choć przy czwartem oknie, kiedy je mijali, kusiło go do niej nawiązać okrężnym kompletem, bo im się tak gładko tańczy.

Panienka uśmiechała się życzliwie, prosto w twarz, na to, co mówił. Na sali zdarzały się razporaz karambole, więc byli sobie wdzięczni, że są zgrabniejsi. Była blondynką, wyciętą z panieńskiego repertuaru, od spodniczki w plisy i gazowych, czarnych pończoch, ubranych na święto, do buzi pełnej szkolnych grymasów i do pierwszej kunsztownej fryzury, upiętej z włosów na karku. Mówiła: czy pan zna Irkę W., lub Zofię P., albo czy pan zna Worochtę? Znał lub nie, nie miało to istotnego znaczenia.

Przy najbliższej sposobności, w przerwie między tańcami, spytał Tadzika Misiewicza, co myśli o jego wyborze. Misiewicz pochwalił, tak, to jest najładniejsza panna, nazywa się Marylka Polińska. A ponieważ miał taką minę, jakgdyby był pokornie zazdrosny, przypieczętował tem jej urok.

Na czem polega miłosne przyzwyczajenie, napastliwa moc takiego kochania? Że się do granic krzywdy wyposaża dziewczynę aż w nieprawdziwą urodę, którą trzeba jej będzie kiedyś odebrać, że pielęgnuje się w sobie tęsknotę do rąk, pieknych w sposób jedyny, do pleców wygiętych w tańcu jak żadne, w ciepły żywy kabłączek pod popielatym sweterkiem? Kiedy widok tak właśnie upiętego beretu w wielkim tłumie na korsie uderza po raz pierwszy mocną krwią jak prawdziwą fontanną? Rozmaitym tysiącom dają inne tysiące na tem korsie jednosekundową nieśmiertelność, złudzenie czy pewność, że świat poto istniał, żeby temu a temu uczniowi VII. a., Marjuszowi Lüdigerowi, albo praktykantowi z drogerji Pawlaka, wyszukać spotkanie z ukochaną.

Kłaniał się, przystępował, puszczał pannę na swoją prawą rękę, żonglował ostro w tłumie, kiedy tłum ich rozdzielał w rozmowie, wiernie i wymownie czytał z boku w twarzyczce mitologję jej życia. Znał już doskonale z opowiadania — siostry, ojca, matkę, dwie ciotki, psa, a kiedy panna przechodząc jezdnię instynktownie poddawała się jego czujności, pewna, że on ją najlepiej przeprowadzi pomiędzy pojazdy, czuł się rycerzem. Po raz pierwszy się opiekował. Zdaje się, że i to było owo uczucie duszące i szczęśliwe.

Karnawał tego roku obchodziła młodzież gimnazjalna pod znakiem pikników. Naturalnie kolega Wojtek R. był najbardziej odpowiedzialnym organizatorem takich imprez, dzięki temu, że natura obdarzyła go przyrodzonym węchem do wykrywania mieszkań przechodnich, tj. gościnnych domów, w których „staruszkowie" nie mieszają się do pokoju młodzieży, ba, do wszystkich pokoi, z wyjątkiem jednego przeznaczonego dla normalnych mieszkańców. Kawalerowie dostarczali wódki i wina, czasem kanapek, panie słodyczy, jakichś rekwizytów do zabawy, kotyljonów, niespodzianek, kostjumerji. Kiedy grono wybrane żyłkami sympatyj było już zmówione, tania muzyczka wynajęta i w notesiku spisane ofiary studenckiej portmonetki, można się było bawić, dogóry podłogą wywracać mieszczańskie mieszkanko, w którem starsi uczyli młodszych bezceremonjalności, uciechy ff (tzn. fortissimo nawet w tem niemuzykalnem kole).

Taniec, flirt, ułatwiony kretyńskiemi do miaukotu kartkami, i gry towarzyskie, w których pączkujące wysypane żądzą ciała młodzieńców i młódek szukały idjotycznych pretekstów do całowania, — wypełniały hucznie taki lub inny „domek nad torami". Lepsi, o ile wkraczali w progi mieszkańców socjalnie niższych, robili to z pańską bufonadą, gorsi, gdy zdarzyło się zaproszenie do burżuazyjnego domu, czuli się skrępowani i całujerączkowali aż do przesady. Pozatem usta były rewolucyjnie demokratyczne, szukały tylko słodkiej śliny partnera.

Kiedy po sklepikach żywnościowych, w których nabierają mięsa wszelkie plotki, szeptano sobie przy ważeniu towaru, że p. Polińska i Marjusz Lüdiger (b. ładny studencik) zaręczyli się, nikt nie wiedział ile kłopotu Marjuszowi umiała przysporzyć ukochana panna. Najpierw swoją nieugiętością, jeśli idzie o pocałunek, potem przez siostrę albo przyjaciółkę. Młodsza siostrzyczka otwierała drzwi częstemu gościowi z suchą, ponurą twarzą, a niezauważona przyjaciółka od serca motała intryżki gęsto i pracowicie, tak żeby się w nich zgubił nawet przedniejszy radca ambasady. A już o nieprzepartą ścianę rozbijała się miłość młodego, zakochanego jak kot, naprzykład na takim pikniku. Powiedzmy zakonnik: pod dyskretnemi abażurami wymieniają parki numery beznadziejnego „flirtu", pilnie czekając na wywołanie do sąsiedniego prawie ciemnego pokoju. Zabawa-łańcuch: chłopiec wywołuje dziewczynę, dziewczyna chłopca, tutaj można wyczytać jak na dłoni sympatje, niekłamaną temperaturę ciała. Marylka psuła zabawę; wywołana robiła naiwniutkie przypuszczenia, poco się ją wywołuje. Pocałować? tak, w rączkę, — przejrzeć album; „przy czem przejrzeć album!?" — (niosło chóralnie cholernie) — przy tym kaganku?" A gdy nie, to jeszcze lepiej, kończyła zabawę, nikogo więcej nie wywoływała. A tu siedmnastoletni nie może czekać, absolutnie nie może — na muśnięcie ustami policzka, wytrącone szamotaniem się, tak jakgdyby to był karygodny gwałt. „Marylko, proszę cię, proszę, daj się pocałować w usta" (czy: niech się pani da pocałować w usta?). Nie dawała się pocałować. Tak bardzo to „niewypadało" w jej wąskich, zalotnych usteczkach, że ręce musiałyby odpaść w uścisku, zawstydzić się odpychającej sztywności jej nieposłusznej kibici. „No, proszę się na mnie nie gniewać, ale ja nie mogę".

Raz się w takiej od godziny już cedzonej sytuacji zdarzył się dziwaczny przypadek. A więc trwał już ten zakonnik, Marjusz miał całą uwagę pochłoniętą oczekiwaniem, kiedy go kto wezwie, by mógł natychmiast wywołać Marylkę, albo też kto przed nim poprosi jego Marylkę, żeby znowu czekać na jej wezwanie, które nie musiało zresztą nastąpić. Umiała zwodzić, nieraz wybierała kogo innego. Nie był zazdrosny, bo i tak tam do pocałunku nie dochodziło, wiedział o tem, i płonął tylko z gorączki myśliwego, okrążającego sarnę, która ani jemu ani wogóle nikomu nie wyjdzie na strzał.

— Pan Marjusz — zaskrzeczała brzydka panna, pełniąca funkcję odźwiernej.

Myślami był nieobecny, nie wiedział, kto go wzywa, przesunął wzrokiem po krzesłach: kogo brak. Nie doliczył się. W każdym razie nie Marylka, i wszedł obojętny. W niebieskiej smudze jakiejś nocnej lampy, uwieszonej grzesznie w tym pokoju dla niedorosłych, stało pośrodku niewielkie dziewczątko, w granatowym mundurku, już ją przedtem zauważył (jak można takie dzieci zapraszać na piknik?). Nie ruszyła się z miejsca, jakby skazana dziwnym wyrokiem, stała prosto, równo, ze złączonemi nogami i pochylonem jasnem czołem, kryjącem w cieniu, niepewne oczy, dwa zimne lazurowe kamienie. Musiał się zbliżyć do niej, nie wiedział, co ma z niechęci zrobić, objąć to obce dziecko, udawać chęć pocałunku? Kiedy na nią spojrzał zbliska, drgnęła, zawahała się, no, i nagle wspiąwszy się na palce zarzuciła mu obie ręce na kark, ściągnęła go sobie jak gałąź z owocami, którą trudno dostać, i wgryzła mu się w usta zupełnie ogłupiałemi zębami i wargami. Mały, szalony ssak. W pierwszym odruchu chciał ją oderwać, strącić z siebie jak napastnika, ale trzymała go na to mocno rękami aż złączonemi w łokciach. Usta miała chłodne, mocne, pełne zimnego soku, pachnące jakiemiś rozgryzionemi do mlecza młodemi orzechami, jednakowo wstrętne i cudowne. Tak-ch; potem go puściła i bez słowa, równo, prosto, wcale się nie zataczając po swoim wysiłku, odeszła do drzwi.

W kilka minut później wyszedł Marjusz na ganek. Psiakrew, gorąco w tem mieszkanku, a tu jeszcze luty jakiś dziwnie wezbrany wiosną. Nagie śliskie drzewa w rudej łunie nad dworcem. Domy uciszone, gdzieniegdzie tylko różyczka światła i zielone semafory, śpiące na torze. Od mostu zburzył ciszę cwałujący pociąg. Trzeba zaczekać, aż przeleca długie równo oświetlone pudła do ostatniego wagonu z purpurowem oczkiem, szybko malejącem. Chciał zawrócić do mieszkania, kiedy na ganek wyszedł z papierosem jeden z starszych i bardziej lubianych kolegów. Postał chwilę bez słowa.

— Zapalisz?

Odpowiedział na to: zapalę. Przy odpalaniu mocował się ze słabym ogienkiem i zachłystywał dymem, i potem wprost:

— Czy nie wiesz, jak się nazywa ta mała, która siedzi pod lustrem, wiesz, we dwie siedzą, z koleżanką, ile ona może mieć, czternaście?

— Którą myślisz? Tę szatyneczkę z niebieskiemi oczami?

— Czy one obydwie nie są jednakowe?

— Nie, nie jednakowe — powiedział poważnie kolega — jeśli o nią ci chodzi, nazywa się Anka Marthówna, jest córką adwokata Marthy.

— Jak można — powiedział Marjusz z wyrzutem, jakgdyby ten kolega był mu właśnie winien — zapraszać takiego (wyraz wybrał po namyśle), skrzata, na zabawę?

Kolega spojrzał spod oka i powiedział tylko: „Tak sądzisz?".

Było to wszystko trochę dziwne i wyszukane, jak w kinie, bo potem rzucił swego papierosa i powiedział jeszcze: „Wejdziemy, nie?", ujmując Marjusza serdecznie za barki.

Jeszcze później wszystko związane z tym wieczorem wyleciało Marjuszowi z pamięci.

---

stronie pokrzywdzonych, podnosząc bohaterstwo Etjopów. „Niema większej miłości, jak oddać życie za kogoś i niema dwóch sposobów umierania za ojczyznę, jak tylko z imieniem Chrystusa na ustach". Wyraził też oburzenie na rzeź jeńców w Badajoz, dokonaną 15-go sierpnia ub. r. — ku czci Matki Boskiej. Złożył świadectwo sprawiedliwości — przeciw swoim współwyznawcom politycznym — wobec samobójstwa ministra Salengro.

Mauriac wydał nowy żywot Chrystusa*), mający służyć odmłodzeniu religji. Każdy, zarówno wierzący, jak ateusz, przyzna, że to wszystko piękniej, mocniej i krócej wyrażone zostało w Piśmie Świętem.

Słusznie mówi znakomity uczony Edward Dujardin, że pisarz może ujmować religję z dwóch stron: jako socjolog lub jako mistyk. Socjolog będzie traktował Buddę lub Chrystusa w związku z całością zjawisk, pamiętając, iż materjał, którym rozporządza, nie jest historją, lecz dogmatem lub folklorem. Każdy zaś mistyk entuzjasta potrafi stworzyć swego Chrystusa. Psycholog nie ma tu nic do powiedzenia.

Św. Jan pierwszy pokusił się wziąć swego Boga nie na — niby, jak grecki Olimp, lecz naprawdę. Kazał mu żyć naszem życiem. Uczynił to, jak twierdzi Dujardin, w sposób genjalny.

Mauriac też starał się pogodzić niebo z ziemią, dać Chrystusa całkowitego, syna stworzyciela i stworzonego, ale ten rodzaj przedstawienia zawiódł. Raz Bóg udaje człowieka, to znów człowiek udaje Boga. Autor popełnia wiele błędów — jak na zawodowego pisarza. Może wynikają one stąd, iż czerpie z różnych źródeł.

Chrystus, wahający się między jedną Ewangelją a drugą, między realizmem a symbolem, świetne skróty paraboli powtarza językiem dzisiejszym. Odbiera im to właściwą siłę, komentarze jeszcze bardziej osłabiają wrażenie. Autorowi chodziło o to, żeby swe, poprzednio już wypowiedziane teorje, poprzeć świadectwem najwyższej prawdy. „Ciało nasze jest nam wrogiem, oczyszcza je — małżeństwo!" — brzmi niby dalszy ciąg wywodów z „Wychowania dziewcząt".

Pragnąc „oczyścić Chrystusa z naleciałości wieków", dał Mu jednak piętno naszej epoki, zbyt może wyraźne, skoro władza kościelna, aby przyłożyć „nihil obstat" i „imprimatur", kazała wykreślić trzy ustępy, jak sam przyznaje, te, do których przywiązywał wielką wagę. Może w nich ukazał się prawdziwy Chrystus, głoszący równość wszystkich, bliski pojęciom demokratycznym, najbardziej śmiałym i dzisiejszym? To byłoby usprawiedliwieniem ślepej wiary, niezrozumiałej u człowieka wysokiej kultury i wielkiego talentu.

Ten nowy żywot Chrystusa miał być nietylko teoretycznem zbliżeniu Boga, lecz też ułatwieniem praktycznego z Nim obcowania. Trudno biblję brać codzień do ręki, w metrze i autobusie można czytać małą, wygodną, dobrze wydaną książkę. Czy jednak przyniesie ona ugruntowanie wiary i pociechę wątpiącym?

Widzę karykaturę autora, którą umieściła „La Semaine à Paris", cotydzień dająca rysunek najmodniejszego w tej chwili człowieka. Lewa ręka nieudolnie trzyma Jezusika, wieczne pióro zabiera się do kreślenia liter. Elegancką zawsze marynarkę zastępuje zgrzebne płótno. Z otwartej szyi wystrzela głowa. Wysokie czoło cofnięte wtył. Brzegi kształtnego nosa z linji prostej wydłużyły się w łuk mocnych brwi, wiszących nad oczami prawie południowca. Nie chroni ich ciężka zawsze powieka, gasząca czarny ogień. Są niespokojne, rozwarte. Pytanie w całej twarzy.

Mauriac powiedział kiedyś: „Daję tylko moją przedostatnią prawdę"...

Aura Wyleżyńska

*) Przekład polski: „Życie Jezusa", nakładem „Roju".

JERZY BOREISZA

LIST JAMESA TURNERA

A więc stało się: skandal w rodzinie Turnerów!*) Jak szybko toczą się wypadki. Trzy miesiące temu gościła tu Laura: ileż serdeczności wykazała, ile troski o mnie. Powiadomiłem ją o narodzinach syna i o zamiarze poślubienia Anny, celem nadania dziecku nazwiska naszego rodu.

Dwa tygodnie temu nadeszła odpowiedź.

„Kuchta żoną sira Williama Turnera! — pisze Laura. — Służąca ma zostać synową baroneta Austina Turnera, matką jego potomka. Czy samo skojarzenie tych pojęć nie unaocznia potworności czynu, który zamierzasz popełnić? Rozumiem — a wiesz przecież, że jestem bardzo wyrozumiała — rozumiem, że perwersja seksualna, tak obecnie w modzie, mogła ciebie pchnąć w objęcia zwykłej kuchark̇i lub pokojówki. Pewien znajomy lekarz wyjaśniał mi zresztą, że jest to perwersja obecnie często spotykana w sferach towarzyskich. Rozumiem również — jakże znam ich przewrotność — iż ta osoba zechciała twój stosunek wykorzystać dla wymuszenia pieniędzy. Ale podobne sprawy w rodzie Turnerów zwykło się załatwiać w godny sposób! Należy z tą osobą sprawę postawić otwarcie, zaproponować pewną sumę pieniędzy za zrzeczenie się wszelkich pretensyj, by w ten sposób umożliwić jej poślubienie mężczyzny z odpowiedniego dla niej towarzystwa. Gotowa jestem zresztą sama z nią o tem pomówić.

Nie potrafiłeś zapobiec katastrofie kilka miesięcy temu, gdy *to* łatwo było uczynić. Obecnie, chcąc ukoronować ten łańcuch głupstw, nie kryjesz się z tą haniebną historją. O wiem, gdzie tkwi źródło twoich błędów! Zawsze twierdziłam, iż rozwój tej podłej socjologji, twoje zainteresowanie tą nauką źle się skończy. Nie, nie chcę więcej pisać, wiem, że w tej chwili nie panuję nad sobą i mogłabym popełnić szereg przykrych rzeczy, nie na poziomie. Toteż apeluję do ciebie, byś wyrzekł się tych niebezpiecznych pomysłów. Zastanów się również, co ludzie o nas pomyślą...

A jeśli, ze zwykłym sobie uporem, trwać będziesz przy swych zamiarach, w porozumieniu z Jamesem zmusimy ciebie do wyrzeczenia się swych praw najstarszego syna naszego ojca. Zresztą, nie masz pewności, czy dziecko jest twoje. Kobiety tej sfery zwykły utrzymywać stosunek z kilku mężczyznami naraz".

Tyle Laura. Nie odpowiedziałem. Postanowiłem zerwać z nią, zdjąłem z nad biurka jej portret pędzla Blikla, na pustem miejscu zawiesiłem pierwszą fotografję Edwarda. Pozostał więc tylko James: zawiadomiłem go o moich zamiarach i załączyłem list Laury. Prosiłem o szybką odpowiedź. Otrzymałem ją wreszcie. Załączam list ten do moich pamiętników, w nadziei, iż posłuży jako materjał dla przyszłego badacza naszej epoki.

(Uwaga wydawcy: w tem miejscu do zeszytu, zawierającego pamiętnik sira Williama został dołączony spinaczem list, pisany drobnym, starannym charakterem pisma na niebieskim, płóciennym papierze).

„Sir,

list naszej siostry napełnił mnie troską o poziom naszych stosunków. Zdziwiony jestem, iż list tej treści mogła napisać jedyna córka naszych rodziców. Zaprawdę mało przywiązujemy wagi do upadku obyczajów w naszem środowisku. Co do mnie, doszukuję się źródeł tego obniżenia kultury w odrzuceniu przez naszą epokę racjonalistycznego, naukowego ujmowania rzeczy, w modnem od początku naszego wieku irracjonalistycznem podejściu do spraw. Tylko nauka bowiem i należny dla rozumu respekt pozwalają człowiekowi odnieść się spokojnie do rzeczywistości. A spokój jest nierozłącznym towarzyszem taktu.

Nie będę ci pisał o moich sympatjach osobistych, ani o moich sentymentach. Uczuciowa strona mojej jaźni jest raczej liberalna i demokratyczna. Pamiętasz chyba, ile szumu wywołał swego czasu mój list do redakcji „Timesów" w sprawie użycia gazów trujących przy rozpędzaniu demonstracyj Hindusów. Pamiętasz chyba, jak usiłowano ten list wykorzystać w Izbie Parów, a jak minister kolonji ośmieszył się, twierdząc, iż między gazami łzawiącemi, które zalecałem, a gazami trującemi niema istotnych różnic. Ale, znając mój wysiłek nad doskonaleniem swego charakteru, wiesz, iż dążę do opanowania rozumem wszelkich pierwiastków emocjonalnych w mem postępowaniu.

Określa to już mój stosunek do faktu narodzin dziecka, przez zatrudnioną u ciebie, jeśli się nie mylę, w charakterze pokojówki, pannę Annę Burns. Tak się szczęśliwie złożyło, iż twój list dobiegł mnie w chwili, gdym ukończył pracę nad teorją syntezy światopoglądowej naszego wieku. Znając moją metodę pracy, rozumiesz chyba, że wykorzystałem najnowsze zdobycze nauk matematyczno-przyrodniczych, które zresztą jedynie na miano nauk zasłużyły. Ostatnio coraz częściej zrażam sobie kolegów z wydziałów humanistycznych, gdy powtarzam, iż tak zwane nauki humanistyczne tylko wtedy posiadają jakąkolwiek wartość, gdy szukają oparcia o zdobycze nauk przyrodniczych i matematyki. Toteż przypisuję szereg błędów w twojem życiu osobistem nadmiernemu zainteresowaniu historją, literaturą, oraz krytyką literacką. Socjologję zaś włączam do beletrystyki, gdyż mojem zdaniem, stanowi ona literackie opracowanie programów różnych partyj politycznych.

Ten rodzaj literatury, jeśli się nie mylę, nazywa się prozą refleksyjną.

Poto więc, byś zrozumiał mój stosunek do faktu, o którym uważałeś za wskazane donieść, pozwolę sobie w krótkich słowach wyłożyć zarys mojej teorji. Zgóry przepraszam, iż w stanie obecnym twego umysłu zaprzątam twoją uwagę tak ścisłemi sprawami, ale jest to konieczne ze względu na rozpatrywany przez nas problem.

Zatem, zadaniem mojej pracy jest stworzyć teorję, która ujęłaby w djalektyczną jedność główne myśli naszej epoki. Odrzucam bowiem, wierny tradycjom XIX wieku, wszelkie pluralistyczne ujmowanie świata i nie waham się, pomimo ostatnich krytyk, bronić jednościowego, monistycznego stanowiska.

Przesłanki mojej teorji są następujące: człowiek jest wypadkową oddziaływania trzech czynników. Po pierwsze: rasa, tu biorę pod uwagę ostatnie zdobycze badań rasowych. Po wtóre: zakładam, że Marx oraz jego następcy dostatecznie uzasadnili fakt istnienia klasy. Po trzecie: jako równorzędny czynnik, oddziaływujący na człowieka, uznaję środowisko socjalno-kulturalne. Nazwijmy więc czynnik rasowy — elementem alfa, czynnik klasowy — elementem beta, zaś czynnik środowiska — elementem gama. Rzecz jasna, elementy te przejawiają się w różnoraki sposób w chromozomach, genach, oraz allelomorfach — ale te sprawy pozostawiam do mego wykładu dla specjalistów.

Elementy te oddziaływają na siebie w różnoraki sposób, powodując często szereg ciekawych skojarzeń. Zależy to oczywiście od żywotności danego czynnika, od jego mocy. Tak więc jeden z czynników może okazać się dostatecznie silny, by stłumić działanie innego elementu, który istnieje nadal, ale nie ujawnia się, czyli przechodzi w stan recesywny. Właśnie wczoraj mogłem obserwować wypadek, gdy czynnik beta wyparł zupełnie czynnik alfa, albo inaczej mówiąc, gdy klasa potrafiła stłumić pierwiastki rasowe. Opowiem ci o tem wydarzeniu, gdyż obrazuje ono słuszność moich teoryj.

Byłem wczoraj na przyjęciu u pani Henrietty, która, jak ci wiadomo, jest z pochodzenia stuprocentową semitką. A więc czynnik alfa — rasa w stanie czystym. Jest to naprawdę czarująca kobieta. Jaki spokój, jaka równowaga ducha, ile wdzięku i dyskrecji w każdym jej ruchu, ile kultury i dystynkcji w jej wypowiedziach. A do tego nosi się tak skromnie a zarazem wyszukanie, posiada łagodny, cichy głos...

Rozmawialiśmy właśnie o odsłonięciu pomnika dłuta Jacoba Epsteina, gdy nagle drgnąłem: wydało mi się, jakgdybym za pięknie skrojonemi ramionami pani Henrietty ujrzał postać starego, krzykliwego handlarza żydowskiego, którego widziałem podczas mojej podróży na Wschód, gdym bawił w Warszawie. Oprowadzał mnie wtedy po mieście jeden z naszych przyjaciół i chcąc pokazać mi osobliwości tego grodu, zawiózł mnie do dzielnicy północnej, zamieszkałej przez semitów. Byłem zaskoczony iście wschodnim tumultem, krzykami, ruchami rąk, brudem i nędzą. Na jednej z uliczek tego miasta zauważyłem starego żyda, odzianego w tak samo długi chałat, jaki noszą Hindusi, tylko że czarny, postrzępiony i brudny. Starzec ten wykrzykując coś nerwowo, sprzedawał gotowany bób, który jest ponoć ich narodowym przysmakiem. Żują go, jak amerykanie gumę. Gdym tak przyglądał się tej postaci i wysłuchiwał ciekawych wyjaśnień naszego przyjaciela, powstał nagle na ulicy niesamowity ruch: handlarze z koszami pierzchnęli, a w ślad za nimi uciekał ten starzec. Zaprawdę osobliwy to był widok, unoszące się na wietrze czarne poły jego chałatu czyniły go podobnym do szatana: zanim jeszcze zdążyłem zapytać o przyczynę tej ucieczki, ujrzałem na opustoszałej ulicy postępującego majestatycznie policjanta z taką samą laseczką, jakiej używają nasi policemani. Jak mi wyjaśniono, policja zmuszona jest przemocą cywilizować tych ludzi, którzy wymigują się spod zarządzeń higjenicznych.

Otóż postać tego starego handlarza stanęła przed memi oczyma, gdym rozmawiał tak z panią Henriettą. Nic, ale to nic powierzchownie nie mogło przemawiać za takiem skojarzeniem. Wrażenia powonienia? Tam zapach cebuli czy czosnku i potu. Pani Henrietta używa, zdaje się, perfum Bourjois o najbardziej dyskretnym zapachu. (A propos perfum: przekonałem się ostatnio, że ani Coty, ani Chanel nie dorównywają Bourjois. Porównaj Chanela z Bourjois: Chanel jest mimo wszystko trochę zbyt ostry. Zresztą, jest to sprawa przyzwyczajenia). A zatem, ani wrażenia powonieniowe, ani kształt czaszki, ani kształt nosa, ani barwa skóry i włosów — słowem nic nie upoważniało mnie do takiego skojarzenia...

Chwilę stałem zmieszany: pani Henrietta zauważyła moje zakłopotanie i zapytała mnie o przyczynę tej troski. Nie chcąc poruszać drażliwego zagadnienia w tak miłem towarzystwie, skierowałem rozmowę spowrotem na tory rozpoczęte. Otóż analizowałem powyższe skojarzenie na tle mojej teorji i doszedłem do wniosku, że pomimo iż w obu wypadkach (pani Henrietty i starego żyda) element alfa (rasa) jest taki sam (constans), to jednak w wypadku pani Henrietty czynnik beta (klasa) stał się dominujący i zepchnął na plan drugi czynnik alfa (rasę). Ale ten czynnik alfa (rasa) pozostał nadal, w stanie ukrycia, recesywny. Oznacza to, że przy zaistnieniu odpowiednich warunków beta i gama, czyli klasy oraz środowiska, element rasowy może wydostać się najaw, obnażyć się z całą jaskrawością. Wyobraź sobie, że wskutek jakichś kataklizmów dziejowych wnuk pani Henrietty zmuszony będzie powrócić do środowiska handlarzy bobem, wtedy rasa napewno odezwie się w nim i to z najsilniejszą reakcją.

W rozwoju tych czynników działają prawa doboru naturalnego. A więc czynnik wyższego gatunku przełamuje słabszy. Nie potrzebuję chyba udowadniać, iż w wypadku pani Henrietty jest ona typem wyższym, aniżeli typ handlarza żydowskiego, zaś w wypadku panny Burns, ród Turnerów przewyższa ród Burnsów; stary Burns, jeśli się nie mylę, był stajennym naszego ojca?

Sądzę, że zgadzamy się obydwaj w poglądzie na sprawę tak zwanego ustroju sprawiedliwości, który miałby zniwelować indywidualność ludzką. Przezwyciężyłem nareszcie w sobie wsteczną pozostałość sentymentalnego rozpatrywania spraw w świetle krzywdy czy też sprawiedliwości ludzkiej. Przecież klasa nasza, wielkich posiadaczy ziemskich, nie powstała drogą łaski czyjejś, tylko prawem doboru naturalnego ludzi silniejszych, zdrowszych, odporniejszych. Przecież w stanie pierwotnym zarówno pradziad panny Burns, jak również nasz pradziad miał te same możliwości rozwoju: jeśli Turner zwyciężył w tym wyścigu, oznacza to, że jest typem wyższym. W historji bowiem, jak w wielkim wyścigu konnym zwycięża typ silniejszy, który należy kultywować. Sentymentalizmy wszelkie są wsteczne, gdyż wstrzymują rozwój ludzkości naprzód. Toteż przyjąłem z marxizmu to, co jest w nim postępowe: stwierdzenie faktu istnienia klas. Odrzucam natomiast wsteczne elementy marxizmu, zmierzające do niwelacji indywidualności ludzkiej. Karol Marx, trudno temu zaprzeczyć, był bez wątpienia genjalnym myślicielem, ale najprawdopodobniej był to człowiek, żyjący sentymentami dla uciskanych, i to zaciemniło jego horyzont. Nie zdołał przezwyciężyć w sobie elementów uczuciowych. Ten ślamazarny stosunek współczucia dyktował zapewne Fryderykowi Engelsowi jego pamflet „O sytuacji klasy robotniczej w Anglji". Spostrzegł rzeczy drugorzędne, powiedziałbym: nieistotne, a nie zauważył, że właśnie dzięki temu wysiłkowi kilkunastogodzinnej pracy robotników i dzieci powstało imperium brytyjskie. Bo, zaprawdę, jakiż pożytek przyniosłoby, gdyby wówczas kilkudziesięciu, albo nawet kilkuset nobility zaprzągnięto do pracy?

Zatem gwarancją postępu jest dążenie do utrzymania na odpowiednim poziomie czynników alfa, beta i gama. Nie będę ci udowadniał, że te elementy w naszym rodzie są na znacznie wyższym poziomie, aniżeli w rodzie panny Burns. Toteż, opierając się na tych przesłankach, wysnuwam odpowiednie wnioski, tyczące twego stosunku z panną Burns. Czynię to wbrew moim sentymentom. Nowe dziecko, z tego związku narodzone, oznacza obniżenie krzywej rozwoju naszego rodu, zepchnięcie jej wdół. Obowiązkiem moim jest, jak sam rozumiesz, przeciwstawić się tym próbom z całej mocy.

Wobec powyższego zmuszony jestem poprzeć stanowisko Laury. Moje studja nad zagadnieniem perspektywy pozwalają mi również dojrzeć w odpo-

*) Por.: „Rozmowa o humanizmie" („Sygnały" nr. 25); „Powrót Torquemady" („Sygnały" nr. 27), „Dialog o wodzowstwie" („Skamander" kwiecień—czerwiec, 1937). Fragment ten stanowi dalszy ciąg „Powrotu Torquemady" i początek „Rozmowy o postępie".

BOHDAN IGOR ANTONYCZ

KOŁOMYJKA O PRZEDWIOŚNIU

Wieje wietrzyk, wieje bujny, wieje między sosny,
a mróz chodzi, a mróz brodzi popod ramię z wiosną.

W rzeczce ryba, w polu skiba, deszczu z nieba prosi,
rosy roszą, chmury chmurzą niebo w barwę prosa.

Pomazała szlak ulewa, skisłem, szarem błotem,
pługi ryją przestrzeń, znojnym pachnie pole potem.

Szary ranek noc rozkole, zgaśnie sen o świecie.
Szary trud wychodzi w pole, grając na trembicie.

przełożył *Eljasz Leon Tabak*

wiedniem oświetleniu tę smutną sprawę, do której wydaje mi się, przypisujesz zbyt wielką wagę.

James.

Post-scriptum: Bardzo będę zobowiązany, jeśli zechcesz mi poradzić, czy mam moją syntezę nazwać teorją, czy tylko hypotezą pracy? Nie powinienem chyba dodać, że pozwala ona w nowem świetle rozpatrzeć sprawę ruchów narodowych, odgraniczyć podszywanie się wulgarnych demagogów demokratycznych pod pojęcie nacjonalizmu".

Oto list Jamesa. Zostałem więc sam. Wokół mnie powstaje pustka. Nawet stary, dobry Oscar, który jeszcze ojcu memu czyścił buty — jakoś dziwnie uchyla przede mną drzwi, obawiając się, by wzrok nasz nie skrzyżował się... Tylko Anna jest tak samo łagodna i milcząca, jak dotąd. Zajęta jest dzieckiem i nie zwraca na nic więcej uwagi.

Wydaje mi się, że nie myśli o przyszłości, że obawia się myślenia. A więc moim obowiązkiem jest zaradzić katastrofie.

Przedewszystkiem nie wolno zbyt pochopnie działać. Dotychczas zaniedbywałem sprawy majątkowe, Laura kierowała niemi. Laura, a właściwie jej mąż. Mają dostateczną ilość moich pełnomocnictw, by na ich podstawie pozbawić mnie środków bytu. Jeśli więc poślubię teraz Annę, dziecko może stracić podstawy swego bytu, swej przyszłości. Popełniłbym więc czyn pozornie szlachetny, w istocie jednak niemoralny.

A więc, może chwilowo, póki spraw nie unormuję, wysłać Annę z dzieckiem na wieś? Nie, tego uczynić nie mogę; Anna napewno źle to zrozumie, sądzić będzie, że pragnę się jej powoli pozbyć. A pozatem, jakże pozostanę zdaleka od dziecka...

Gdybym jeszcze miał jakiś światopogląd, przekonania, kompas, który pozwoliłby mi odnaleźć drogę właściwą, jedyną. Zagubiłem się w powodzi myśli naszej epoki: na rozstajach dróg stanąłem bez kompasu.

Coraz częściej zamykam się więc w gabinecie, oczekuję zmierzchu, by usłyszeć znów rozmowę trzech moich powierników. Wiem, że jestem na granicy obłędu, ale świadomość tego bynajmniej nie osłabia procesu rozszczepiania mojej świadomości: ja, realista, dopuszczam myśl, że z kart książek mogą w nocy schodzić żywe postaci, że potrafią rozmawiać, żyć swojem życiem i z odległości wieków minionych rozprawiać o wieku XX-ym. Toć to szaleńczy pomysł! Zapewne sam uciekam przed koniecznym wyborem swojej, jedynej drogi i pozwalam nurtom przeciwstawnym naszej epoki, poza mną i we mnie żyć życiem równoległem. Sam zainscenizowałem to szaleństwo, sam wyreżyserowałem tę rozmowę...

Nie dość tego: ten stan chorobowy zapewne sprawia mi niewymowną ulgę, gdyż tęsknię nieraz za temi rozmowami, szukam w nich oparcia...

Wczoraj, po nadejściu odpowiedzi Jamesa zamknąłem się w swym gabinecie i razporaz odczytywałem ten list. Wydaje się, jakgdyby wszystko było w tym liście logiczne, naukowe, ścisłe, jakgdyby powstawała żelazobetonowa konstrukcja. A jednak wyczuwam, że James stworzył sobie świat myśli, którego zadaniem jest chronić jego spokój: bowiem myślenie ludzkie to ciągłe szukanie kompromisu ze sobą samym, ze swemi skłonnościami i sprzecznemi dążeniami.

Nie osiągnąłem spokoju, nie potrafię bowiem myśleć. Wczoraj odczytałem po raz trzeci list i na chwilę zgasiłem światło, by skupić się i wreszcie zdecydować, jak postąpić wypada. Gdym znów oczy otworzył, ujrzałem szybko kroczącą drobną postać Marata, wymachującego nerwowo rękami. Z kieszeni jego surduta sterczały jakieś wycinki gazetowe, jakieś notatki. W cieniu przymglonego światła zarysowała się jego pożółkła twarz, obramowana niesforną czupryną. Wślad za nim, pobrzękując zbroją, szybko sunął Don Kichot, zaś dyskretnie opodal szedł ku mnie Hamlet: dziwnie zaprawdę wyglądała w cieniu biel koronek wokół jego szyi.

Drgnąłem. Po chwili znaleźli się znów obok mego biurka, a mała postać Marata jakgdyby zaginęła w szerokim fotelu. Rozpart się wygodnie, świdrujące jego oczy nerwowo biegały po stole, aż wreszcie zatrzymały się na liście Jamesa.

— Hm, co to? — rozległ się piskliwy, brzmiący nieco sztucznie, patetyczny głos. Szybko przeczytał list, poczem parsknął przykrym, głośnym śmiechem. Rzucił list Hamletowi, mówiąc: — Obywatele, czytajcie, oto szarlataństwo XX-ego wieku!

Hamlet spokojnie włożył monokl i powoli zaczął czytać. Za jego plecami Don Kichot odczytywał wiersz za wierszem zarys teorji Jamesa, podczas gdy Marat akompanjował chichotem. Gdy Hamlet odłożył list, na znak, że zapoznał się z jego treścią, znów rozległ się głos Marata, tym razem już chrapliwy, mniej sztuczny, raczej gardłowy:

— Po przeczytaniu tego listu stwierdziłem, że jestem wstecznym typem. Ojciec mój pochodził z Hiszpanji, a może był maranem, matka moja rodem ze Szwajcarji. Oto, co nazywają nauką, oto jest zdobycz ludzkości w ciągu 150 lat, od czasu, gdy wspólnym wysiłkiem moim i Benjamina Franklina dokonywaliśmy rewolucji w optyce, gdy stoczyliśmy boje o medycynę, o astronomję, o nauki społeczne! Szarlataństwo odrodziło się w wieku XX-tym w postaci kombinacyj pseudonaukowych, a ich historycy wykpiwają mnie, żem leczył markizę de Laubespine wodą wapienną, którą dla uspokojenia tej rozhisteryzowanej gruźliczki nazwałem sztuczną wodą płucną... Wykpiwają mnie ich historycy, żem sto pięćdziesiąt lat temu źle określił położenie serca i płuc... A sami tworzą bigos naukowy, już nie według recepty Cagliostro, który wiele rzeczy się naumiał, ale bigos, jakiego powstydziłby się kucharz ostatniego rzędu w roku 1775, gdym się po trzeciorzędnych knajpach londyńskich wałęsał...

— Gromko, jak zwykle, — waszmość mówisz — odezwał się miękki tenor królewicza — Wali doktór prosto z mostu, ale nie widzę rzeczowych argumentów, które mogłyby odjąć teorjom Jamesa Turnera wagę naukowych dociekań, a nadać ją poglądom waszmości. Nietylko bowiem socjologja, ale zdaniem mojem wszelka nauka jest rzeczą dowolną, z subjektywnych przesłanek powstałą...

— I to, co ja biorę za szyszak Mambrina, tobie zdaje się być miednicą golibrody, a komu innemu czemś odmiennem wydać się może... — zawtórował bas Don Kichota.

— Hola, obywatele, toście się nareszcie ze sobą dogadali. Potępiacie możność rzeczywistego poznania prawdy poto, by uprawnić wszelkie szarlataństwa myślowe, by naoścież drzwi otworzyć wszelkim kombinacjom myślowym, hamującym postęp, jaki dokonywa się w wieku XX-tym.

— Postęp w wieku XX-tym? — przerwał Hamlet — Wybacz, mój drogi doktorze, a czyż konflikt sira Williama nie świadczy o tem, że o postępie mowy niema? Oto na początku wieku XX-ego jakaś wiel ce szlachetna dama, zdaje się, moja rodaczka z krajów skandynawskich nazwała ten wiek wiekiem dziecka, że to ponoć wiek ten ma należne prawa dziecku przywrócić. Spójrz wokół, co się dzieje, a czy nie przypominają ci się moje słowa:

Jak nudnym, nędznym, lichym i jałowym
Zda mi się obrót cały tego świata!
To niepielony ogród, samym tylko chwastem
(porosły...

— Twój pesymizm schyłkowy znalazł i w wieku XX-tym szereg zwolenników właśnie wśród tych, co odrzucają postęp i wartość nauki. Zdaje mi się, że te dwie sprawy ze sobą w ścisłym związku pozostają: sprawa postępu i stosunek do nauki. Pozwólcie obywatele, że wam pokrótce określę mój na te sprawy pogląd, jest to bowiem dla naszych dalszych dysput zagadnienie osiowe.

— Słuchamy — naraz odezwały się dwa głosy: tenor Hamleta i bas Don Kichota. Omal nie odezwałem się również: Słucham.

Ale w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Trzy postacie pierzchły. Odezwałem się: wejść!

Na progu stanęła blada Anna. Cichym, niespokojnym głosem, jakgdyby przeczuwając co złego, oznajmiła:

— Sir William, przyjechała pani Laura.

PO WAKACJACH

Wracam do domu po swoich niedługich wywczasach i zastaję na biurku sporo książek nowych, czasopism ,listów od przyjaciół. Nie wszystkie te nadesłane mi książki zdołam omówić, nie na wszystkie listy odpowiem wyczerpująco. Czasu nie staje i sił. Ale chcę powiedzieć choć parę słów o tem, cc w tych książkach i czasopismach znalazłem, co przemówiło do mego serca, co i jak pobudziło umysł.

Przedewszystkiem książka Haliny Górskiej „Ślepe tory" („Rój", 1937). Jedna z tych „cichych w ziemi", którzy przenikają tę ziemię swą miłością i nie znajdują spokoju dlatego, że przez ścianę z nimi żyje udręczona Minczelesowa, że ślepy Janek Haszczan nie ujrzy nigdy kwitnącej łąki w złotych blaskach słońca i nie zazna tej miłości, która mogłaby rozprószyć choć w części jego wieczne mroki. Odwracam kartki tej miłosiernej książki, błądzę po piwnicy według planu, załączonego do niej, znam wszystkich tych lokatorów w podziemiach naszej chrześcijańskiej cywilizacji. Niektórzy mówią: reforma rolna, inni: reforma ordynacji wyborczej, jeszcze inni: reforma ustroju. Halina Górska mówi: reforma człowieka, serca człowieczego. Tak, pani Halino. Tej dobrej książce życzę dziesiątków tysięcy czytelników. Nie dla autorki, ale dla siebie, dla nas wszystkich, dla świata. Takie książki nie bawią próżniaków, ale przeobrażają serca ludzkie. O takie jedynie chodzi.

Potem „Cynk" Marjana Czuchnowskiego (Kraków 1937, nakładem autora). O ludziach więzionych przez ludzi. Jakieś wielkie społeczeństwo wydziedziczonych, ale na swój sposób inteligentnych, sprytnych, roztropnych ludzi. Co z nimi zrobić, żeby nie kradli, nie włamywali się, nie popełniali oszustw, nie mordowali? Juljan Ejsmond marzył kiedyś o „krainie z jasnego marzenia, gdzie człowiek już nigdy i za nic nie będzie mógł pójść do więzienia". Dzisiaj może człowiek wciąż jeszcze dostać się do więzienia, niestety! Utknąłem na opowiadaniu Czuchnowskiego o wieszaniu mordercy Rączki. Szubienica zmurszała, więc wieszano Rączkę sposobem domowym jakimś, w pralni, bo tam był dobry hak w suficie. Kiedy przyjdzie odkupienie człowieka, aby jedni nie mordowali, a drudzy nie wieszali? Przypomina się opowiadanie Gavarniego w „Dzienniku" braci Goncourtów o pewnem wieszaniu w Anglji. Mżył deszczyk, delikwenta ubrano w płaszczyk nieprzemakalny, śród publiczności krążyły talerzyki z cukierkami...

I jeszcze więzienie. „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" Sergjusza Piaseckiego („Rój", 1937). Żywot niełatwy przemytnika, a raczej liczne żywoty społeczeństwa poza społeczeństwem. Czytam uważnie te kartki książki, napisanej z niewątpliwym talentem i ciągle myślę: dlaczego nikt nie potrafił wyzyskać talentu i inteligencji tego człowieka, zanim powinęła się mu noga? Dlaczego nikt nie umiał dysponować go na piękne, bohaterskie życie, zanim trzeba było po wyroku sądowym dysponować go na śmierć? Siedzi w więzieniu świętokrzyskiem za napad z bronią w ręku. Umrze tam, jeśli nie odzyska wolności, to znaczy świeżego powietrza i odpowiedniego pożywienia. Przemawia za nim talent. Obyż raczej przemówił charakter! Iluż utalentowanych Piaseckich siedzi dzisiaj po wszystkich więzieniach świata?

Stefan Kawyn posłał mi swą płomienną książkę „Ideologja stronnictw politycznych w Polsce wobec Mickiewicza 1890—1898" (Lwów, 1937. Badania literackie. Tom X. Lwów, Uniwersytet). W tej książce jest perspektywa sumienia i uczucia. Na marginesie tej erudycji, która nam odtwarza podstawę stronnictw politycznych wobec Mickiewicza, uczucie czytelnika notuje ciągle pytania: ile Mickiewicza jest w nas dzisiaj, ile nas w Mickiewiczu? Czy jesteśmy narodem Mickiewicza? Czy Mickiewicz napisałby dzisiaj swą „Odę do młodości", gdyby musiał żyć śród odłamu tej młodzieży, która tak gorąco i niewzruszenie wierzy w skuteczność pałki? Ta książka powinna obudzić sumienia nasze i zmusić je do zastanowienia się nad tem, co się dzieje w atmosferze strasznej bierności i powszechnego zgnuśnienia.

„Rozdroże" Marji Dąbrowskiej (Warszawa, 1937. J. Mortkowicz), to rzecz o przyszłości Polski z perspektywy wsi. Rzeczpospolita to w 73% wieś, głodna, pozbawiana głosu, poświęcana wciąż interesom dziedziców panoszącego się jeszsze możnowładztwa. Niema zamożnej Polski bez zamożnej wsi, niema siły bez zdrowego, krzepkiego, dobrze odżywianego stanu chłopskiego. I, dodajmy jeszcze: niema literatury wielkiej, dopóki spożywcą jej nie stanie się owe 73% Polski, które dziś głodują, nie mają na sól i na zapałki. Dlatego ta książka jest tak ważna i nad wszystko inne aktualna jako program do rychłego wykonania. Pytanie tej książki brzmi: miljony czy jednostki? Praca twórcza i żywa, czy umarłe przywileje?

„Nowa Bibljoteka Społeczna" wydała Juljana S. Huxleya i A. C. Haddona pracę „My Europejczycy" jako przegląd zagadnień „rasowych". Słowo wstępne napisał prof. Ludwik Krzywicki, a rozdział „Europa za morzami" włączony do tej książki jest pracą M. Carr-Saundersa. Ta książka walczy z mitem rasizmu, zrodzonym w mrokach nędzy powojennej, z mitem, zaciemniającym rzeczywistość naszą i pogłębiającym nędzę świata. Ale czy książki takie trafiają do tych, których przekonać trzeba? Niestety, nie. Tylko nam, ludziom wiary w człowieka szlachetnego, dostarczają argumentów naukowych, iżbyśmy się nie dali zakrzyczeć typowi pałkarskiemu.

Robert Morris w książce swej „Pięćdziesiąt lat życia chirurga" (Warszawa, 1936, J. Przeworski), opowiada o doświadczeniach i przeżyciach lekarza i chirurga współczesnego. Czyta się tę książkę z uczuciem podziwu dla cierpliwej wiedzy ludzkiej, która krok za krokiem zdobywa nowe doświadczenia w walce z cierpieniem i śmiercią i dla techniki umiejącej wyciąć i wyrzucić z organizmu ludzkiego źródło cierpienia i śmierci. Ładna, mądra książka z pogranicza wiedzy i talentu.

„Problem komunizmu" Mikołaja Bierdiajewa („Rój", 1937), dziwnie nie przekonywa i nie zapala serca. Ciągle wyczuwa się, że pragnienie zdeklasowanego emigranta rosyjskiego staje się ojcem jego myśli. Bolszewizm jako praktyka nie może entuzjazmować nikogo, ale jego emigranccy przeciwnicy mówią za bardzo **pro domo** swoich dawnych przywilejów, aby można było przejąć się ich mistycznemi twierdzeniami. Gdzież byli ci Bierdiajewowie, gdy chłop rosyjski gnił w ciemnocie i nędzy? Żyli z tej nędzy i wiodło się im dobrze. Nie umieli czy nie chcieli być Prometejami i dzisiaj skarżą się, że „Antychryst" wyparł ich ze stanowisk i posad. Ani terminologja mistyczna, ani argumentacja nie trafiają do naszych serc i umysłów.

Księgarz paryski posłał mi „Histoire de la littérature française" Alberta Thibaudeta (od r. 1789 aż po dni nasze). Bardzo ciekawy wstęp, mądre uwagi ogólne o ludziach i książkach. Przerzucam kartki i raptem oko pada na słowa: **„Rien de noble, a dit le bourgeois et l'héritier Barrès, ne fut pensé en dehors d'un fauteuil".** Czyli: nic szlachetnego nie zostało pomyślanego poza fotelem. Nietzsche, wróg „chińszczyzny" Kanta, uważa, że żadna myśl „wysiedziana" nic niewarta. Myśli, jego zdaniem, trzeba wychodzić. Bo Nietzsche tworzył chodząc. Pisał, jak myślał, aforyzmami.

Stanislas Fumet w książce swej o katolickim pisarzu Léonie Bloy (Mission de Léon Bloy) charakteryzuje twórczość tego pisarza w sposób wysoce interesujący. I tu także przy przerzucaniu kartek, rzuca mi się w oczy słowo: **„J'aurais honte de traiter un chien galeux comme Dieu me traite".** (Wstydziłbym się traktować psa parszywego tak, jak Bóg traktuje mnie). Słowa te pisał Bloy do wielkiego również pisarza katolickiego, Ernesta Hello 19/IV 1880 r. Dziwny jest ten pisarz katolicki, który tak rezolutnie odzywa się o Bogu. Byłoby dobrze napisać szkic „Pisarz katolicki" i objąć nim przynajmniej ostatnie pięć dziesięcioleci, aby wykazać, jak zmieniała się postać tego pisarza.

Rozcinam lipcowy zeszyt „Nouvelle Revue Française" i znajduję w nim bardzo ciekawe studjum Maritaina o wojnie świętej („De la guerre sainte"), o islamizacji Europy i o tem, że dzisiejsza wojna domowa w Hiszpanji nie zakończy się pokojem, lecz niepokojem. Mówi też Maritain, że najbliższa wielka wojna będzie wojną wierzeń, a nie wojną o rynki. Jedni będą wierzyli, że ratują Europę przed „czerwonym szatanem", drudzy, że chronią ją przed niewolą wszelkiego faszyzmu. Rzecz osobliwa, ten francuski katolik jest całą duszą demokratą i przeciwnikiem wszelkiego totalizmu. U końca zeszytu śród notatek pod nagłówkiem „Bulletin", czytam: „Londyn. Testament męża stanu: — Nigdy państwo na tej ziemi, mówi Baldwin, nie było godne uwielbienia człowieka wolnego". A dalej: „Tokio. Kuwaki, „Kant japoński", odkrywa, że Paryż, to „wielki gród dialektyki". Widział on wystawy bulwarów i skrzynie bukinistów, pochód pierwszego maja i pochód ku czci Joanny d'Arc". Co za szczęśliwy „gród dialektyki" i dyskusji bez pałek i wrzasku ciemnoty!

A teraz rzeczy pięknie oprawne. Elizy Orzeszkowej „Pisma" (Gebethner i Wolff, Warszawa). Otwieram tom I „Obrazek z lat głodowych" i czytam na wstępie: „Posłuchajcie, piękni panowie i panie... Z błyszczących wyżyn waszych czy spojrzeliście kiedykolwiek wdół, nisko, wgłąb owych warstw społeczności, które ciemne, nędzne, z piękna odarte, pracują ciężko? Czyście widzieli, jakie cierpienia nurtują na tych dnach głębokich, jakie męki rozdzierają łono tej mętnej dla was fali żywych ludzi?". Ach, to jest temat Haliny Górskiej. W tomie trzecim czytam: „Życie kobiety to wiecznie gorejący płomień miłości — powiadają jedni. Życie kobiety to zaparcie się — twierdzą inni. Życie kobiety to macierzyństwo — wołają tamci. Życie kobiety to igraszka — żartują inni jeszcze. Cnota kobiety to ślepa wiara — chórem zgadzają się wszyscy". I ten temat jest dzisiaj aktualniejszy, niż był wczoraj, bo kobieta jest bezrobotna, bezrobotniejsza od mężczyzny. Nie ma ona gdzie ulokować swego płomienia miłości, swego zaparcia się, swych możliwości macierzyństwa i swej cnoty ślepej wiary. Chce pracować i nie znajduje pracy, chce żyć i ginie jak Marta. W tomie IV („Meir Ezofowicz"), pierwsze słowa głoszą: „U szczytów cywilizacji zbiegają się i zgodnie łączą się ze sobą różnorodne gałęzie wielkiego drzewa ludzkości. Oświata najlepszym jest apostołem powszechnego braterstwa...".

O, któż zrozumie dziś twoje słowa, wielka, szlachetna Nauczycielko? Kto ci uwierzy, że oświata najlepszym jest apostołem powszechnego braterstwa? Nie byłabyś napisała tych słów, gdybyś była widziała współczesnych „oświeconych" pałkarzy. Ale to może lepiej, żeś ich nie widziała i że słowa twoje zostały jednak napisane także dla czasów naszych, takich ponurych.

Paweł Hulka - Laskowski

POWIEŚĆ O WIĘZIENIU

Marjan Czuchnowski: Cynk. Kraków. Nakładem autora, 1937; str. 224.

Tematy więzienne nie mogą być nadzwyczajnością w literaturze narodu, który przez lat sto zgórą przeżywał mękę trójzaborczego ucisku i uciskowi temu stawił opór bezustanny w powstaniach zbrojnych, konspiracjach, czy też w twardym wysiłku codziennym. Powrót do niepodległego życia państwowego przesunął na inne tory zainteresowania pisarzy, odwrócił naogół ich uwagę od martyrologicznej i więziennej historyczności. Rzeczywistość dzisiejsza, wykąpana ongi w promieniach najcudniejszych nadziei, zerwie — zdawało się — ostatecznie z wszelką ponurością domów zamknięcia i niewoli, ukazując ludziom życie odrodzone nie spoza żelaznych krat, lecz wśród słońca, przestrzeni, swobody.

Nadzieje piękniejsze są zwykle od oblicza prawdy. Chociaż zmieniło się bardzo wiele i gruntownie, nie wyczerpała się przecież do dna tematyka więzienna, przynajmniej dla tych pisarzy, którzy — jak Czuchnowski — ze sztuki czynią służbę społeczną, a słowom swym dodają wagi rzetelnością niełatwych przeżyć i doświadczeń własnych. Dlatego też obok kompleksu spraw związanych z pojęciem: człowieka zamkniętego — nie mógł przejść obojętnie. Poza swą wartością objektywną, o czem niżej, „Cynk“ ma znaczenie dokumentu, stwierdzającego przełom czy zwrot w twórczości autora, który od liryki — osobistej, a później społecznej — przechodzi do epiki powieściowej, wkracza na drogi surowego, narzucającego ogrom odpowiedzialności realizmu.

Nie zdaje mi się, by słusznie uczynił Czuchnowski, nazywając swe szkice i obrazy więzienne — „powieścią“. Niema tu bowiem elementów ładu i kompozycji artystycznej, których zwykliśmy wymagać od tej formy pisarskiej. „Cynk“ — to raczej na szeroką skalę zakrojony reportaż, podany, jak mówi autor w posłowiu, „skąpo, powściągliwie, nieludzko i sucho“, pozbawiony wszelkiego zdobnictwa literackiego i pełen najbardziej autentycznej prawdy. Przy podjęciu zadania tego rodzaju nasuwały się trudności dwojakiej natury: jedne tkwiły w rozległości i wielopłaszczyzności tematu, inne były z gatunku „od autora niezależnych“. Pierwsze powodowały kłopoty co do wyboru i selekcji materjału, zalewającego nadmiarem świadomość pisarza; drugie — wymagały niebylejakich kwalifikacyj gimnastyczno - ekwilibrystycznych, aby wykonać ten **sui generis** „taniec wśród mieczów“ bez — wypadku.

W poezji czy w prozie, w twórczości czy w życiu Czuchnowski unika łatwizn i pozostaje zawsze sobą — to jest duszą rogatą i nieugiętą. Toteż idzie „drogą **największego** oporu w walce o wolną i niezależną twórczość, o prawdę ludzką i jej artystyczne kształty...“. Zrozumienia i poparcia w tej walce domaga się słusznie Czuchnowski i od czytelnika. Bez nawiązania i zacieśnienia takiego kontaktu nie można przecież sprawować mandatu pisarza — humanitarysty i społecznika. Czuchnowski, jak uczciwy świadek w zawiłym procesie, mówi prawdę — i tylko prawdę. A to jest właśnie w danym razie wstrząsające.

Człowiek w więzieniu, istota zamknięta i pozbawiona swobody poruszeń, oddana w nieludzko ścisłą zależność literze regulaminów i jej strażnikom, — to całkiem inny gatunek człowieczy, raczej pozycja więziennych rejestrów kancelaryjnych, niżli wolą i możnością działacza obdarzony **homo sapiens.** Największą zasługą autora „Cynku“ jest właśnie to, że osobliwą deformację psychiki człowieka więzionego nietylko odczuł i zrozumiał, lecz prawdziwie, dokładnie, z wnikliwością literackiego klinicysty — opisać również potrafił. Ta deformacja jest ambiwalentna i dwukierunkowa: człowiek zatraca się, gubi swą godność i dostojeństwo ludzkie, upodabnia się do psa, liżącego rękę, która go bije, — albo też odnajduje w sobie niespodzianie może nieraz, cenne złoża hartu, męstwa i odporności, rozpalających się w jakiejś chwili iskrami heroizmu. Historja głodówki więziennej, opisana z kamiennym, zaiste, spokojem przez Czuchnowskiego, zdolna jest wzruszyć — kamień, otacza bo głowy pospolitych złodziejaszków i bandytów nimbem cnót niezwykłych. Pierwsze i główne przykazanie więzienne: bezwzględna solidarność w niedoli prowadzi niektórych aż do granicy najwyższego poświęcenia, najdalej posuniętego samozaparcia. Jakże bardzo żałować wypada, że te walory człowieczeństwa manifestują się pełnią blasku w tak szczególnych dopiero warunkach!...

Czuchnowski, ze zrozumiałych względów, unika akcentów drażliwych, nie stawia „Cynku“ na gruncie polityczności, nie różnicuje lokatorów opisywanego więzienia według paragrafów kodeksu karnego. Zdecydowanym konturem zaznaczając różnice indywidualne, pragnie przedewszystkiem wydobyć z więźniów to, co w nich wspólne i ogólnoludzkie. Że udaje mu się to tak, jak zamierzył, o tem świadczy zainteresowanie i — współczucie, jakie budzić zaczynają już od pierwszych kart książki w czytelniku losy zarówno Józków, jak Tłuczków i Zahlpeterów.

Nie bez znaczenia jest informacyjna strona książki: po raz pierwszy bodaj w literaturze polskiej opisano z tak wierną, objektywnie kronikarską drobiazgowością życie więzienne w dni powszednie i święto, w normalnym biegu spraw nudnych i pospolitych oraz w chwilach burzliwych zatargów i powikłań wewnętrznych. Czemś zupełnie nowem jest słownik więzienny, którym autor „Cynku“ posługuje się obficie. Podkreśla to „kolor lokalny“ książki, nadaje jej wyraz swoisty i w sensie werbalnym, a dla amatorów i zbieraczy osobliwości gwarowych stanowi **curiosum** niebylejakie.

Bolesław Dudziński

PAMIĘTNIKI LIMANOWSKIEGO

Bolesław Limanowski: Pamiętniki. (1835—1870). Warszawa, 1937. Towarzystwo Wydawnicze „Rój“.

Zdumiewająca jest rozległość tego pamiętnika, obejmującego pierwsze trzydzieści pięć lat życia autora, z natury rzeczy przecież mniej aktywne (dzieciństwo, młodość), a jednak zaznaczone szeroką działalnością od Archangielska po Paryż i od Dorpatu po Kraków. Już od chwili pierwszych przebłysków świadomości dziecka (lata 1839—40), brnie się w gąszczu faktów i wiernych, nieraz aż nużących drobiazgowością, opisów, świadczących o niesamowitej wprost pamięci Limanowskiego, w czasy mundurka gimnazjalnego i studjów uniwersyteckich w Moskwie, potem w Dorpacie, do Paryża, w ruchliwe, o wysokiem napięciu ideowem środowiska emigracyjne, Hotelu Lambert, zwolenników Mierosławskiego, czy towiańczyków, pod których wpływem rodzi się myśl czynnej manifestacji antycarskiej w Wilnie. Po jej zorganizowaniu i pełnem godności zachowaniu się podczas śledztwa, Limanowski zostaje zesłany na wygnanie do Archangielska, później Woroneża i już po powstaniu styczniowem wraca do kraju, do Warszawy, poczem w r. 1869 ponownie wyjeżdża zagranicę.

Pamiętnik obejmuje 500 stron dużego formatu. Już w trakcie czytania, na długo przed indeksem przeszło 850 nazwisk nabiera się nieodpartego przeświadczenia, że nie jest to pamiętnik Limanowskiego, ale epok i generacyj, z któremi związało go bujne życie. Dysharmonja pomiędzy tytułem a zawartością, przesuwającą się zdecydowanie od osoby pamiętnikarza ku dziejom politycznym, społecznym, gospodarczym i obyczajowym mijanych przez autora czasów, unaocznia się coraz wyraziściej w ciągu „zdobywania tekstu“. Limanowski sam zjawia się rzadko, stara się to czynić niedostrzegalnie, przedewszystkiem dla powiązania i kontynuowania opisu swojej działalności, niepodległościowej, narodowouświadamiającej lub publicystycznej i naukowej. Nie wysuwa jej na pierwszy plan, traktując o jej poszczególnych fazach z szczerą prostotą, jakby to było zrozumiałe samo przez się. Na kanwie swej działalności snuje opowiadania i wielobarwne obrazy. Zajmuje stanowisko obserwatora, rejestrującego wszelkie, najdrobniejsze objawy życia środowisk, w których przebywa, daje nawet opisy przyrody, charakterystycznych dla północy zmian atmosferycznych, ubiorów, stosunków społecznych i kulturalnych. Każde opisywane środowisko, każdy przejaw życia, mają swoją indywidualną barwę i odrębne życie, niewykoszlawione przez perspektywę historyczną, tak niebezpieczną przy spisywaniu pamiętników, mających służyć celom naukowym. Olbrzymi materjał wpierw przygniata, uderza obcością szczegółów, potem zmusza do przedzierania się intensywnem wczytywaniem, zmagania się z chronologicznie rzucaną dżunglą tekstu, prowadząc po dłuższej lekturze do zasmakowania w tamtych ludziach, w tamtej epoce polskich szkół wojskowych w Paryżu, czasach dyliżansu, zagonowej szlachty i litewskich kołdunów.

Szereg osobistych wyznań, sposób obserwacji, dziedziny budzące zainteresowanie autora, oraz kierunki studjów — wskazują na przewagę tendencyj społecznych, decydujących już w pierwszem trzydziestoleciu o stylu życiowym dalszych, bliżej nam znanych siedemdziesięciu lat działalności, — tem samem dają obfite źródło do głębszego poznania Limanowskiego z najbardziej czynnego okresu jego długiego żywota, z okresu organizacji i pracy w P. P. S. Od dzieciństwa bowiem, gdy raziło go bicie chłopów, od modlitw o zniesienie pańszczyzny, do marzeń młodzieńczych o stworzeniu wielkiej nauki, któraby zajmowała się zbiorowością ludzką, jak fizjologja i psychologja życiem pojedynczego człowieka, od rozczarowań, odniesionych po przeczytaniu artykułu o Auguście Comte'cie i zapoczątkowanej przez niego nauce... do poważnych studjów Buckle'a, Johna Stuarta i Milla, prób zdobycia własnych poglądów, indywidualnego stanowiska myślowego — poprzez wszystkie lata i środowiska trwają jego zainteresowania socjologiczne, wszędzie wokół siebie usiłuje stworzyć ruch umysłowy, by w dyskusjach rozwinąć swe teorje, przedewszystkiem pobudzić otoczenie do myślenia i do działania. Od dzieciństwa niemal próbuje swych zdolności literackich, od „powieści“, napisanej w ciągu paru dni w moskiewskiem gimnazjum poprzez szereg „zawodów“ pisarskich dochodzi do stałej współpracy w „Przeglądzie Tygodniowym“ Wiślickiego.

Styl „Pamiętników“ jest swobodny i prosty, daleki od patosu czy koturnów, które mogłyby ostatecznie przysługiwać niektórym partjom opowiadania. Sędziwy autor (Limanowski rozpoczął pisanie pamiętników w 1917 r.), mimo braku wielu notat i zapisków uporał się należycie z obfitym materjałem, nastręczającym przecież wiele trudności, a „Przypisy“ dają świadectwo wierności jego fenomenalnej pamięci. Niezmiernie rzadkie są powikłania, cofnięcia czy „wstawy“ treściowe, mające podkreślić pewne ustępy i dające możność spoglądnięcia wtył czy przejrzenia naprzód akcji, w ogólnym rachunku psujące jednak harmonję narratorską „Pamiętników“.

Limanowski wzbogacił wybornie polską literaturę pamiętnikarską. Wartość jego wspomnień polega na bezsprzecznem działaniu wychowawczem („dziejów żywota, który się aż prosi o pamiętnik“), ale mieści się też w walorach dokumentarnych: historyka i badacza literatury. Życzyć sobie należy, aby „Rój“ i Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych, którego własnością jest część pamiętnika, obejmująca resztę żywota wielkiego działacza — przystąpiły jak najszybciej do dalszej edycji rękopisu, który stanowiąc tak cenną puściznę nestora polskiego socjalizmu, nie może ulec losom części krakowskiej, wydrukowanej obecnie, a wykupionej przez rodzinę autora z masy upadłościowej Krakowskiej Spółki Wydawniczej, gdzie znalazła się po zlikwidowaniu N. K. N.-u, pierwszego właściciela i inspiratora „Pamiętników“.

Przedmowę, dającą dużo niezbędnych wyjaśnień napisał Adam Próchnik. Jego też zapewne zasługą jest opracowanie i przygotowanie do druku „Pamiętników“.

Franciszek Gil

NOWOŚCI POETYCKIE

Eugenjusz żytomirski: Pierwsze przykazanie. Warszawa, F. Hoesick 1937, str. 43.

Już w wierszu początkowym zawiera się w krótkości cały pogląd życiowy poety („Przed nieznanem ucieczka w miłość, przez cierpienie powrót do Boga“). O jego ewolucji i charakterze dowiadujemy się, przechodząc poszczególne utwory. W nich znajduje on swe szersze niejako rozwinięcie i dokładniejszą eksplikację na tle autentycznych przeżyć Żytomirskiego. Przeważnie wiersze te przedstawiają się jako liryczne zeznania, złożone z wielką szczerością, a zarazem bezpretensjonalnością i prostotą, co niewątpliwie wpływa ujemnie na formalną stronę poezji autora „Pierwszego przykazania“. Ale pokazuje się, że forma w tym wypadku nie jest decydująca, nie tworzy warstwy pierwszoplanowej w układzie wiersza. Główna rzecz, jaka całkowicie nas pochłania i jaką poeta potrafi nas sobie zjednać, to otwartość jego wypowiedzi, z których treści wyraźnie daje się poznać naprawdę tragiczny fragment jego drogi życiowej. Bezpośredniość i szczerość tego rodzaju wyznań grozi czasem niebezpieczeństwem popadnięcia i zatracenia się w moralnym ekshibicjonizmie, co w paru miejscach omal się nie zdarza.

Żytomirski, to typowy treściowiec. Forma jego wierszy — jak już zaznaczyliśmy — wygląda nieraz bardzo słabo, czy to, jeśli skłania się ku licznym prozaizmom, czy to, gdy z racji swej szablonowej gładkości zbliża wiersz do tekstu piosenkowego.

Twórczość poety zamknięta w „Pierwszem przykazaniu“ nacechowana jest wybitnemi znamionami tradycjonalizmu, traktowana w całości wykazuje jednolitość tonu. Obok wyrażeń, przypominających bardzo „Młodą Polskę“ można w tomie tym odnaleźć echa zarówno gwałtownego, jak i czułego śpiewu, który dolatywał nad lutnią czołowych „Skamandrytów“.

Jan Kott: Podwojony świat. Warszawa. Skład główny: Tow. Wydawnicze, 1936; str. 31.

Na fundament liryki Kotta składa się zasadniczo skrzyżowanie dwóch rodzajów poezji: „Skamandra“ oraz awangardy. Tak zatem w kilku utworach przejawia się ogólna tendencja do pisania w regularnych strofach, a zależności od indywidualnych przedstawicieli „Skamandra“ są w nich raczej starannie zamaskowane, podczas gdy w pozostałych wierszach o odmiennej, bo zbliżonej do awangardowej, strukturze wyraźnie widać wpływy Przybosia (zwłaszcza w „Oczy otworzyć“). Nie należy wcale przez to rozumieć, jakoby poeta nie posiadał oryginalności w dużym stopniu. Wprost przeciwnie, Kott umie sobie zbudować własny świat we własnych wierszach, chociaż w tworzeniu jego zawdzięcza pierwsze początki swym wielkim poprzednikom, korzystając w sposób wybitnie eklektyczny z tego, czego oni go nauczyli. Obrazy, jakie nam ukazują się, działają przedewszystkiem dynamiką formy, a często nadto jakąś utajoną wewnętrzną żarliwością („Nad drżenia gór“, „Tylko ciepłe oddechy ust“). Rozpatrywane pod względem kolorystycznym, prezentują się jako dość blade i skąpe w kolorach. „Podwojony świat“ mieści w sobie szereg utworów o bardzo sugestywnym artyzmie, lektura zaś ich, jak i dwóch dołączonych przekładów pięknych wierszy Eluarda, daje rzetelne zadowolenie estetyczne.

Anda Eker: Na cienkiej strunie. Lwów. Księgarnia Lwowska, 1935; str. 128. — Anda Eker: Melodja chwili. Tamże. Nakł. A. Krawczyńskiego, 1937; str. 135.

Dwa tomy wierszy, z których jeden („Na cienkiej strunie“) wyszedł za życia przedwcześnie zgasłej lwowskiej poetki, a drugi został wydany już po jej śmierci, należy zaliczyć do typu t. zw. „poezji popularnej“. Lektura tych utworów dostarcza wiele miłych i ciepłych wrażeń. Są tam opisane przeróżne sprawy z wielkim spokojem i umiarem, przyczem doskonale widać, że zmarłej poetce stale przyświecała intencja wypowiadania się w sposób zrozumiały i niezawiły. Ogromna szczerość i prostota pozwoliły jej zapewne mówić o wszystkiem, co tylko poruszyła w tych wierszach, tak ujmująco, a zarazem zajmująco, iż musiało to zaskarbiać jej serca czytelników i stwarzać zastępy sympatyków. Wczytując się w poezje Andy Eker, postępujemy za nią od wierszyków prawie dziecinnych, poprzez madrygały i obserwacje liryczne, aby wreszcie wspiąć się po jej własnej, stromej ścieżce ku melancholijnej zadumie, jaka wieje z niektórych strof.

Żal, czasem z pewną dozą ironji, tęsknota za odeszłem, albo radość i pogoda, istotnie zwiewne melodje chwili, wszystko to opowiedziane z troską, by stało się jak najdostępniejsze ludziom i samo jak najbardziej ludzkie, potrafi każdego wzruszyć.

Władysław Jaworski

NAS JEST WIĘCEJ...

Bolesław Piach: Nas jest więcej. Warszawa, 1937. „Nasza Księgarnia“.

„Nas jest więcej“... — Bolesława Piacha jest historją, której temat zaczerpnięty został z jednej z wielotysięcznych pozycyj aktów sądu dla nieletnich wielkiego miasta, z kart indywidualnych zakładów dla upośledzonych umysłowo dzieci, zakładów poprawczo-wychowawczych, z kart już nie indywidualnych, a zbiorowych nieznanego żołnierza ulicy. Historja prosta i nieskomplikowana wlewania w standartowe foremki człowiecze żywej masy materjału na Ludzi, której wynik: człowiek-indywiduum zależny jest nie od mistrza kierującego robotą, a zwykłego, ślepego przypadku. Komu się poszczęści, wyjdzie ze spalającego płomienia bez skazy; inny — idzie na „szmelc dna“. Ręka przypadku jest niesprawiedliwa, bo kierowana przez ślepca. Ludzi ze skazami jest więcej. Potrzeba zatem mistrzów, ludzi świadomych celu i odpowiedzialności, ludzi, którzyby się zajęli opuszczoną młodzieżą, młodzieżą, szczególnie podatną na prawo przyciągania do zła.

Książka: „Nas jest więcej“... — jest mocna w tendencji i formie. Pewne usterki artystyczne nagradza bezpośredniość i żarliwa chęć przeciwstawienia się złu. „Nas jest więcej“... jest płomiennym protestem wszystkich bezimiennych dzieci świata przeciw krzywdzącemu je losowi. Jest oskarżeniem ustroju, który nie wyszedł poza zmiany w szkolnictwie; jest ostrzeżeniem świata przed konsekwencjami ich dojrzenia.

Sydonja Amarantówna

PRZEGLĄD PRASY

Głos Plastyków jest dziś jedynem w Polsce pismem, poświęconem sprawom artystyczno-plastycznym. Zadanie swoje spełnia chlubnie. Mimo trudności finansowych każdy tom jest pięknie wydany, pod względem redakcyjnym wszechstronnie opracowany. Ostatni poświęcony jest głównie pamięci znakomitego malarza Z. Waliszewskiego, oraz rzeźbie polskiej i francuskiej. O Waliszewskim piszą jego przyjaciele najbliżsi: St. Młodożeniec, J. Czapski, J. Jarema. Ze wspomnień ukazuje się żywa i ciekawa sylwetka zmarłego artysty. O rzeźbie polskiej pisze St. Zbigniewicz. Interesujący obraz zainteresowań artystycznych rzeźbiarzy daje ankieta na temat aktualnych zagadnień rzeźbiarstwa polskiego. Fr. Biedart pisze o współczesnej rzeźbie francuskiej. Dużo miejsca poświęcono sprawom rzeźby i malarstwa francuskiego. Tom uzupełnia bogaty dział informacyjny, sprawozdawczy i kronikarski. W całości „Głos Plastyków“ daje obraz zainteresowań i dążeń artystów polskich, ich ideałów i osiągnięć. Zdobi go imponująca liczba zgórą stupięćdziesięciu dobrych reprodukcyj dzieł, w tem dwie wielobarwne plansze. „Głos Plastyków“ dobrze służy sztuce plastycznej. Adres: Kraków, Łobzowska 3.

Jezuicki **Przegląd Powszechny** (nr. 7—8), poświęcony jest niemal w całości sprawom społeczno-politycznym. Wskazują na to tytuły rozpraw: „Renesans katolicyzmu młodego pokolenia polskiego“ (zachwyty nad młodymi endekami i oenerowcami), „Demokracja autorytatywna“, „Roczny bilans rządów Frontu Ludowego“ (autor — trzeba to przyznać — widzi bardzo dużo dodatnich stron tych rządów), „Czy totalizm jest koniecznością historyczną?“, „O należytą postawę wobec komunizmu“, „Ideowe źródła współczesnego bezbożnictwa“ itd. W piśmie, wydawanem przez kler, znajdujemy więcej roztrząsania spraw aktualno-politycznych, niż w jakimkolwiek organie ściśle politycznym. Daje to świadectwo, jak bardzo mało kler obchodzą zagadnienia religijne, i że nie o nie mu chodzi. Ugruntowanie własnych wpływów politycznych — to cel zasadniczy. Czuje się ich już w Polsce bardzo pewny, jeśli może zabierać głos — np. w t. zw. sprawie wawelskiej — arogancko, butnie, z tupetem. Zamiast pokory chrześcijańskiej i miłości bliźniego — gniew, potrząsanie zaciśniętą pięścią, grożenie zemstą.

Lipcowy zeszyt **Okolicy Poetów** zawiera antologję poezji rzymskiej w przekładzie T. Bocheńskiego. Zostali uwzględnieni: Catullus, Vergilius, Horatius, Ovidius, Martialis.

Skamander (lipiec—sierpień), przynosi akt trzeci głośnej sztuki J. Zawieyskiego „Powrót Przełęckiego“, artykuł St. Helsztyńskiego „Krzyż Wielkiego Hierofanta“ (o gnostycyzmie St. Przybyszewskiego), krótki, treściwy artykuł o sztuce Indyj I. Piotrowskiej i M. Sobeskiego. Pozatem wiersze.

Na marginesie t. zw. sprawy wawelskiej W. Rzymowski ogłosił w **Epoce** dwa artykuły: „Sobiepan w infule biskupiej“ (nr. 13) i „Droga do ludu a furty kościelne“ (nr. 14). Rzymowski zwraca uwagę, że t. zw. sanacja, nie mając oparcia w masach, musiała szukać współpracy z klerem. Już Hołówko stwierdził, że „za żadnych rządów w Polsce odrodzonej kler rzymski nie doszedł do takiego znaczenia“, jak za rządów pomajowych. Urządzane wspólnie koronacje obrazów, obchody, pielgrzymki mają dać wrażenie, że zarówno kościół, jak i rząd

mogą liczyć na masy wiernych. „Co w tych wszystkich uroczystościach kościelnych uderza, to przewaga organizacji nad żywiołem samorzutności, formy nad treścią, dygnitarstwa nad uczuciem, pompy obrzędowej nad szeptem modlitwy. Wysiłek, planowość, propaganda, inscenizacja i przepych ceremonjału: oto hasła, oto znamiona tych zbiorowych wystąpień kleru".

Ostatnio zaczęto się poważniej w prasie zastanawiać nad sprawami filmowemi i kinowemi. T. Terlecki przełożył w Drodze (nr. 6), głośną rozprawę Elie Faure'a „Mistyka kina". W Marchołcie (nr. 4) zagadnienie filmowe — zwłaszcza wzajemnego stosunku filmu i teatru — referuje na podstawie prasy angielskiej A. Mikułowski. „Film w państwie" to temat artykułu w Zaczynie. Autor przedstawia rolę filmu i kina w trzech państwach „dynamicznych": Z. S. R. R., Włoszech i Niemczech. Najżałośniejsze wyniki osiągnął totalizm niemiecki: „Niemiecka sztuka „totalna" zdała egzamin z wynikiem niedostatecznym. Zmiana ustroju odbiła się w sposób fatalny na wszystkich jej dziedzinach. W filmie dało się to odczuć zastraszającem obniżeniem poziomu artystycznego oraz nieoczekiwanym odwrotem publiczności niemieckiej od obrazów rodzimej produkcji i coraz większem darzeniem sympatją filmów pochodzenia zagranicznego, przeważnie amerykańskiego. Wprowadzenie ustroju totalnego w dziedzinę sztuki, dokonane w sposób absolutny i radykalny, poniosło zdecydowaną klęskę moralną.

Inaczej sprawa ta przedstawia się w Z. S. R. R. Sytuacja, jaka zapanowała po przewrocie rewolucyjnym, stanowiąca żywy, namacalny kontrast ciemnoty umysłowej carskiej Rosji, otworzyła przed artystą niezmierzone pole swobody twórczej, którem zrazu olśniony i onieśmielony począł tworzyć nową, na nieznanych przedtem podstawach opartą sztukę. W ten sposób każde dzieło, a w szczególności dzieło filmowe, jako wytwór przeżyć kolektywnych, wypływało jakby naturalnie, bez jakiejkolwiek presji z czyjejkolwiek strony, będąc automatycznie wyrazem tej nowej rzeczywistości i jej artystycznem przedłużeniem. Stąd też element formalny znajdował się w idealnej, syntetycznej harmonji z ideologiczną kanwą dzieła, dając w sumie pełnowartościowy produkt sztuki".

Wszyscy piszący o filmie zgadzają się w jednem, że film polski jest tak ordynarny pod każdym względem, że nie może być brany pod uwagę w porównaniu z produkcją innych państw.

K. K.

K R O N I K A

Niech się odezwą ludzie pióra i nauki

W więzieniu wileńskiem przebywają od dwu miesięcy znani pisarze: Henryk Dembiński, Stefan Jędrychowski i Marja Żeromska. Ciąży na nich zarzut współpracy w niewychodzących od roku pismach „Poprostu" i „Karta". W związku z tem „Robotnik" z dnia 13 lipca b. r. pisze:

„Pozwolimy sobie jedynie zakwestjonować celowość aresztu prewencyjnego w sprawie omawianej. Jakież warunki dla publicystyki stwarza fakt, że bez wyroku sądu publicysta narażony jest na przesiadywanie miesiącami w areszcie śledczym za swoją działalność publicystyczną, którą, bardzo być może, sąd uzna za wcale nie kolidującą z kodeksem karnym? Czyż stosowane aż nazbyt często konfiskaty nie wystarczą dla „kontroli" prasy, czyż potrzebujemy w Polsce aż takich środków?

To jedna strona medalu. Druga — to los naukowca, za jakich niewątpliwie należy uznać troje uwięzionych.

Żeromska i Jędrychowski byli w trakcie wykończenia prac doktorskich. Praca naukowa jest jak dotychczas głównym zawodem wszystkich trojga...". Pracować naukowo w więzieniu nie mogą. „Młodzi ludzie — pisze dalej „Robotnik" — bez wyroku skazującego, którego być może nigdy nie będzie, marnują dzień za dniem.

Dembiński jest b. poważnie chory na wątrobę. Wikt więzienny działa zabójczo na jego zdrowie, choć ma t. zw. djetę szpitalną dla chorych, jednak to nie wystarcza. Wyjdzie po kilku miesiącach ze zmarnowanem zdrowiem. A jeżeli śledztwo zostanie umorzone?

Stanowczo za niecelowe, za niesłuszne z każdego punktu widzenia należy uważać przedwczesne odrywanie młodych ludzi od ich pracy zawodowej, od pracy naukowej... Czy zadużo mamy ludzi nauki?

Apelujemy do związków literackich i naukowych, by zajęły się sprawą trojga ludzi!".

Jerzy Orda pisze w „Kurjerze Powszechnym" z dnia 23 lipca b. r. o Henryku Dembińskim:

„Dembiński działał zawsze jawnie i śmiało, z podniesioną przyłbicą. Obce mu były małe gierki polityczne i dziennikarskie; artykuły jego bywały często konfiskowane, mimo to nie widział potrzeby dekowania się za kryptonimami. Karjery politycznej nie zrobił, choć wielu dawnych światoburców o mniejszych nieraz niż on zdolnościach umiało jakoś się odkuć.

Piszę to nie jako człowiek bliski Dembińskiemu, a nawet raczej jako jego polityczny przeciwnik, ale chcę dać świadectwo prawdzie".

„Słowo" i „Kurjer Wileński" rozwinęły haniebną kampanję, szkalując zarówno Dembińskiego, jak też Jędrychowskiego i Żeromską.

Protest uczonych

Pogromy w Brześciu i w Częstochowie, to ostatnie przejawy zbrodniczej akcji, prowadzonej na różnych terenach. Społeczeństwo polskie zbyt długo zachowuje milczenie w tej sprawie, która nie może być obojętna dla tych wszystkich, którzy dbają o poziom życia społecznego i kulturalnego w Polsce i o jej przyszłość.

Pastwienie się nad bezbronną, najuboższą ludnością żydowską, niszczenie i rabunek warsztatów pracy drobnych rzemieślników, bicie i prześladowanie koleżanek i kolegów na wyższych uczelniach, uchwały różnych stowarzyszeń, wykluczające kolegów Żydów — oto długi szereg faktów, poprzedzających Brześć i Częstochowę.

Akcja pogromowa przypomina starszej części społeczeństwa dobrze jej znane z czasów carskich metody, stosowane przez czynniki skrajnej reakcji w walce z prądami wolnościowemi, demokratycznemi. Obecnie antysemityzm posługuje się szerszym zakresem środków i zapożyczonem hasłem rasizmu, istota rzeczy pozostała jednak ta sama.

Hańbą jest, że akcja pogromowa jest realizowana w niepodległej Polsce. Hańba ta spadnie na całe społeczeństwo polskie, jeżeli nie postawi ono tamy zbrodniczemu działaniu i szerzeniu haseł, które to działanie prowokują. Społeczeństwo polskie pod grozą upodlenia młodzieży, sprowadzenia życia społecznego do poziomu barbarzyństwa, upadku kultury, więc wobec zagrożenia najistotniejszych wartości zbiorowego życia w Polsce, musi zmobilizować wszystkie swe siły do przeciwstawienia się rozpętanej akcji.

W imię najszczytniejszych tradycyj narodu polskiego, w imię demokratycznych idej wolnościowych, którym zawdzięczamy odzyskanie niepodległego bytu naszej ojczyzny, wzywamy tych wszystkich, którym drogie są te idee, aby podjęli walkę na każdym odcinku życia społecznego z zalewem obcego duchowi polskiemu barbarzyństwa.

Stanisław Bukowiecki, dr. Feliks Burdecki, Józef Ciągliński, prof. Stefan Z. Czarnowski, dyr. Faustyn Czerwijowski, prof. A. B. Dobrowolski, dr. Regina Fleszarowa, prof. Władysław Gumplowicz, prof. dr. Tadeusz Kotarbiński, Kazimiera Krajewska, dr. Jerzy Kreczmar, inż. Stanisław Kruszewski, St. J. Kudelska, doc. dr. Tadeusz Manteuffel. doc. dr. Marja Ossowska, doc. dr. Stanisław Ossowski, dr. Zofja Podkowińska, Anna Nałkowska, Hanna Nałkowska - Bickowa, Józef Pruchnik, Wacław Rogowicz, Irena Sawicka, Wacław Szumański, Ludwik Sawicki, dr. K. Sowacki, prof. dr. Henryk Ułaszyn, Irena Wasiutyńska, prof. dr. T. Wałek-Czarnecki, doc. dr. Stefanja Zahorska, dr. Tadeusz Żebrowski.

K O R E S P O N D E N C J A

Jan Ren. Kraków. Artykuł „Czarna krowa w kropki bordo" nie będzie drukowany.

A. L. B. Cieszyn. Wiersz nie do druku. Adres „Okolicy Poetów": Ostrzeszów, woj. poznańskie.

L. Z. Warszawa. Reportaż „Na skrzyżowaniu ulic" nie będzie drukowany. Zasyłamy pozdrowienia.

R. B. Wilno; L. P. Lwów; Seh, Kraków; J. O. Lublin; Krym; Wł. Szl. Warszawa. Wiersze nie będą drukowane.

E. F. Tłumacz. Wiersze nie będą drukowane. Nie podejmujemy się oceny. Pismo „Wotum" już nie wychodzi. Adresu „Promu" i „Defilady" nie znamy. „Okolica Poetów": Ostrzeszów, woj. poznańskie; „Kamena": Chełm Lubelski, Reformacka 43. W sprawie pism emigrantów niemieckich poinformuje najlepiej księgarnia Krawczyńskiego, Lwów, Rutowskiego 9, lub Księgarnia Lwowska, Lwów, ul. Akademicka.

W. W. Przemyśl. Powieść Silonego omówimy po ukazaniu się jej w języku polskim. Prosimy o dalszą pamięć. Za życzenia dziękujemy.

Z. W. Wiersz Klabunda „Pogrom" był już kilkakrotnie przekładany na język polski. Prosimy o dalszą życzliwą pamięć.

St. N. Warszawa. Nowela nie będzie drukowana.

Wit. Z. Mil. Warszawa; Feniks Cz. Prosimy o większy wybór. Za życzenia dziękujemy. Adresy: „Nowa Kwadryga", Warszawa, Wilcza 30, m. 6, „Lwów literacki", Lwów, Ossolińskich 11, m. 19, „Kultura", Poznań, Marcinkowskiego 22.

B. Sz. Łódź. List oddaliśmy Wł. Jaworskiemu.

M. St. L.; M. G., Krościenko; M. Fr., Stryj; Jotes, Lwów. Dziękujemy serdecznie za nadesłane artykuły. Niestety, nie możemy wszystkich wyzyskać spowodu braku miejsca.

ZBAWCOM NARODU

Krzyczycie: Polska! Wołacie: Ojczyzna!
Myślicie: forsa, posadka i żłób,
dla was metoda, a nie pierwszyzna
hasło: „dorwałeś się, bracie, to łup!".

Niegdyś przed carem pełzaliście hurmem,
by raczył zachować i chronić wasz zysk,
wielbiliście za to stupajkę i tiurmę,
wy, co teraz Polski macie pełen pysk!

Mowa o narodzie? Wrzeszczą: Jest z nami!
Kastetami waląc w propagandy gong,
a naród — dławilibyście rękami,
lecz narazie własnych wstydzicie się rąk.

Wy, w orgjach defilad, w poddańczych arjach,
mistrze od hołdów, bankietów czy styp —
gdzie przejdzie ta defraudancka husarja,
afera po niej wyrasta jak grzyb.

A teraz do władzy pcha się to bractwo,
ręce im się trzęsą, ślina cieknie z ust, —
wyjdzie z tego pewnie nowe łajdactwo,
jakie wciąż obmyśla targowicki mózg.

Pełzną, lecz w strachu drgają im lędźwie,
więc walą dla krzepy w żydowski tam-tam.
Wy chcecie Polskę zbawić?! Nic z tego nie będzie.
Nie wam to przypadnie, nie wam!

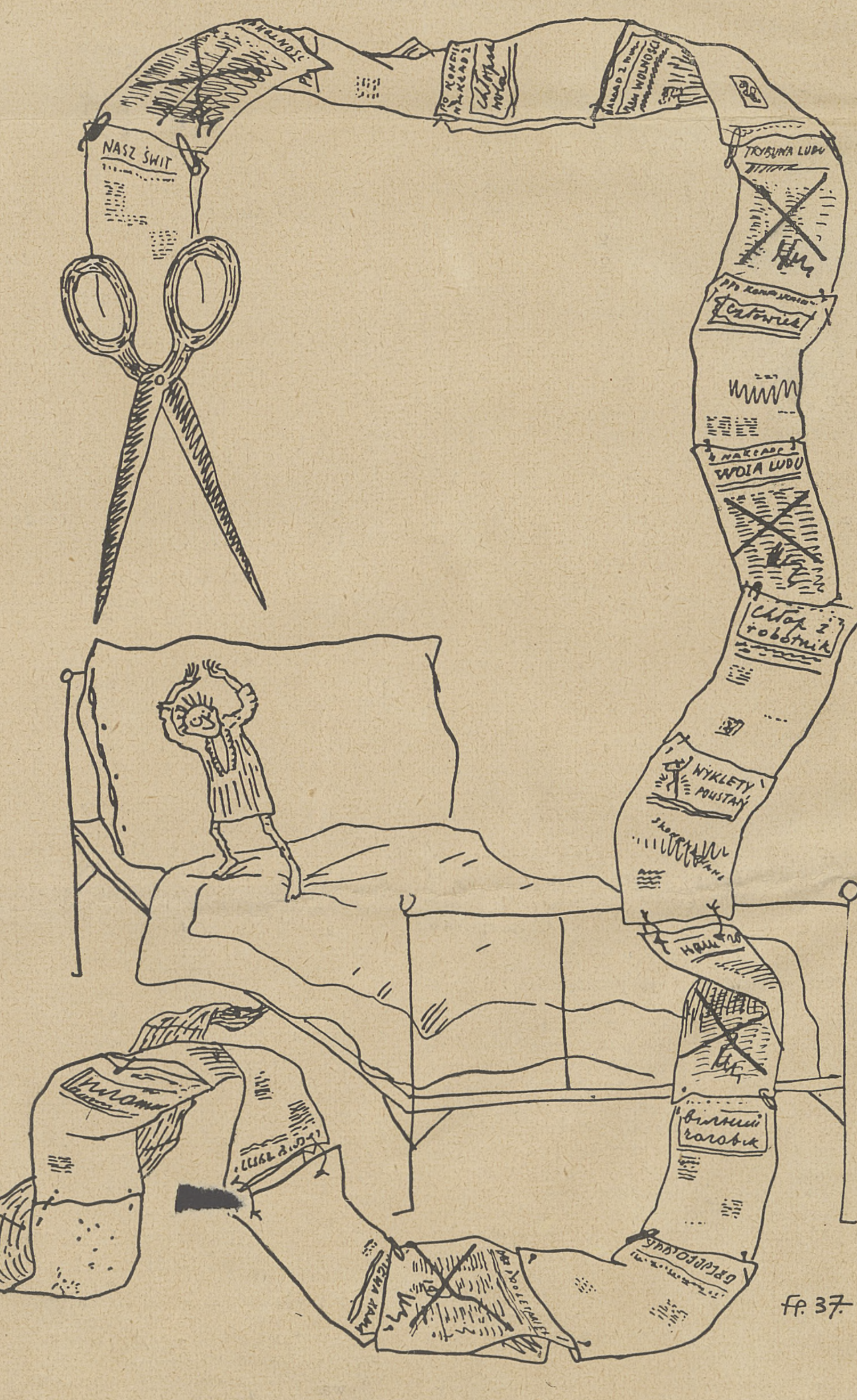
LEON PASTERNAK

GDYBY...

(szpilka dla „Szpilek")

Gdyby „Szpilki" mnie się spytały,
czemu piszę tanie kawały,
odrzekłbym: „Płaćcie więcej za nie,
to nie będą tanie!".

FELIX ZANDLER



Straszny sen cenzora rys. Franciszek Parecki

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK
Redakcja i administracja:
LWÓW, UL. HAUKE BOSAKA L. 4
codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt,
od godziny 18—19
PRENUMERATA:
roczna 5 zł., półroczna 2.60 zł., kwartalna 1.40 zł.
Konto P. K. O. 503.400, przekaz rozrachunkowy nr. 1.

Redaktor odpowiedzialny: TADEUSZ BANAŚ. Z drukarni „POLIGRAFJA", Lwów, Lindego 6.